


HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

MARZEC 2020/2

magazynhisteria.pl



BILET DO PIEKŁA
ĆMA POCHŁANIAJĄCA KOSMICZNĄ PUSTKĘ
FILMOWIEC I JEGO KSIĄDZ
JAZZ
PRZERAŻAJĄCA SŁOWIAŃSKA LEGENDA
WICHER POŚRÓD DRZEW

SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
BILET DO PIEKŁA	Kamil Bęben	4
ĆMA POCHŁANIAJĄCA KOSMICZNĄ PUSTKĘ	Paweł Dawidowicz	12
FILMOWIEC I JEGO KSIĄDZ	Krystian Janik	25
JAZZ	Michał Pięta	35
PRZERAŻAJĄCA SŁOWIAŃSKA LEGENDA	Krystian Michalski	40
WICHER POŚRÓD DRZEW	Szymon Płuska	48

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka : Joanna Widomska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Marcin Czarnecki, Roman Panasiuk, Małgorzata Siłkowska, Izabela Wojciechowska, Zvyrke

Korekta: Kaja Jaroszevska, Joanna Korytko

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami marcowa Histeria. Jest to numer specjalny, gdyż w tym miesiącu obchodzimy 6. urodziny magazynu! Ale ten czas szybko leci!

W środku znajdziecie sześć opowiadań szeroko pojętej grozy, w tym teksty autorów, których dobrze znacie.

Życzymy strasznej lektury i wracamy do prac nad majowym wydaniem.



B. Jaworski i M. Zawadzki



BILET DO PIEKŁA

Kamil Bęben

Drzwi gabinetu otworzyły się. Weszła przez nie czterdziestoletnia kobieta. Robert spojrzał na nią wzrokiem myśliwego, który w końcu zobaczył swoją ofiarę. Wskazał jej wolne miejsce.

– Pani Alicja Nowak?

– Tak.

– Wezwałem panią, bo musimy poważnie porozmawiać. Nasza firma przeżywa ostatnio trudny okres, a to wymaga zdecydowanych kroków. Dlatego muszę panią zwolnić.

Ostatnie słowa wypowiedział z rozkoszą. Uwielbiał to robić. Nie było nic wspanialszego niż widok zaskoczenia i rozpacz na twarzach wyrzucanych przez niego ludzi. Nigdy mu się to nie znudzi. Był panem ich losu. Kochał to.

– Dlaczego?

Na początku nie odpowiedział. Cieszył się jej reakcją. Uwielbiał takie chwile. Zatrudnił ją miesiąc temu tylko po to, aby dziś wyrzucić z pracy.

– Musiałem podjąć taką decyzję ze względu na dobro firmy.

– Mam dwójkę dzieci, jestem sama.

– Nie musiałaś się puszczać. Tak masz dwa bachory do wykarmienia.

– Jak pan może?!

– Tylko się nie rozpłacz.

– Jesteś potworem!

Kazał kobiecie wyjść. Wstała ze swojego miejsca. Widział na jej twarzy wewnętrzną walkę. Na pewno zastanawiała się, czy prosić go o drugą szansę. Liczył, że spróbuje i będzie mógł jeszcze bardziej ją upokorzyć.

Zatrzymała się. Spojrzała na niego z nienawiścią w oczach.

– Idź do diabła!

Opuściła jego gabinet, a Robert wybuchnął śmiechem. Kochał takie momenty. Nic nie mogło się z nimi równać.

Spojrzał na zegarek. Była piętnasta. Na dziś wystarczy. Miał bardzo dobry dzień. Może być jeszcze lepszy. Doskonały pomysł. Ostatni raz był tam miesiąc temu.

Rozległ się dzwonek jego telefonu.

– Cześć kochanie. – Usłyszał głos swojej żony.

Był słodki do bólu, tak samo jak ona. Naiwna, głupiutka dziewczynka, zupełnie nie w jego typie. Ożenił się z nią tylko dla pieniędzy jej ojca. To jego firma, a on za dzielenie łóżka z tą idiotką został dyrektorem generalnym.

– Co się stało, skarbie?

– Chciałem wiedzieć, o której będziesz. Przygotowuję kolację.

– Nie czekaj na mnie. Muszę zostać w pracy, mam mnóstwo roboty.

– Szkoda.

Usłyszał w jej głosie rozczarowanie. Na pewno liczyła, że spędzą trochę czasu razem. Ostatnią ją zaniedbywał. Była zakochana w nim po uszy, więc kolejny raz mu wybaczy.

Schował telefon do kieszeni. Nie zamierzał dłużej siedzieć w biurze. Opuścił budynek i podszedł do swojego samochodu. Miesiąc temu odebrał go z salonu. Jest wart pół miliona. Skoro firma płaci, to nie będzie oszczędzał.

Wsiadł do środka i uruchomił silnik. Od razu rozległ się basowy pomruk z rury wydechowej.

Wyjechał na ulice. Postanowił pojechać do burdelu i dodatkowo poprawić sobie humor. Może skusi się na rudą. Tak, to był dobry pomysł.

Znalazł się poza miastem. Wcisnął mocno gaz. Silnik zawył niczym dzika bestia, wchodząc na obroty. Auto wystrzeliło do przodu, nabierając prędkości. Robert wyprzedził frajera jadącego przed nim.

Wkrótce stary grat został daleko z tyłu. Nie przejmował się nim. Nie obchodzili go tacy nieudacznicy. Był królem życia. Miał gdzieś biedaków, których nie stać było na dobry samochód.

Pierwsze krople deszczu uderzyły o przednią szybę. Nie przejmował się tym. Był mistrzem kierownicy. Wszedł w zakręt i przyspieszył. Cztery koni natychmiast zabrało się do pracy.

Padło coraz mocniej. Powinien był zwolnić, nie zrobił tego. Wkrótce to się na nim zemściło. Auto wpadł w pościg. Starał się nad nim zapanować, ale ono niczym kapryśna kobieta nie chciało go słuchać.

Wypadł z drogi. Zrozumiał, że już nic go nie uratuje. To koniec. Zamknął oczy. Myślał, że w ten sposób będzie mniej się bał, mylił się. Był przerażony. Jego serce biło jak oszalałe, jakby chciało wyrobić normę na kilka następnych lat, których już nie przeżyje.

Uderzył w drzewo. Poczuł ogromną siłę wyrzucającą go do przodu i pas bezpieczeństwa zatrzymujący go w miejscu. Było to ostatnie, co zapamiętał. Później nastąpiła pustka.

Otworzył oczy. Nie wiedział, gdzie jest. Nie był w samochodzie. Nigdzie go nie dostrzegł. Zamiast niego zobaczył samotny budynek. Zaczął iść w jego stronę. Wspiął się po schodach i wkroczył do środka.

Zatrzymał się zaskoczony. Ujrzał kasy biletowe i ławki. Nad jego głową wisiał stary zegar. Jego wskazówki wskazywały trzecią.

Dopiero po chwili zrozumiał, że trafił na dworzec kolejowy. Na pewno był halucynacją. Jego mózg pod wpływem wypadku podsuwał mu fałszywe obrazy. Gdy odzyska przytomność, zniknie.

Powoli szedł przed siebie. Kroczył środkiem obszernego holu w klasycystycznym stylu. Po obu jego stronach zawieszono obrazy. Po lewej zobaczył scenę sądu ostatecznego. Po prawej strącenie grzeszników do ognistej czeluści. Na pewno były wymysłem jego umysłu. Nikt nie zawiesiłby czegoś takiego na prawdziwej stacji kolejowej.

Zatrzymał się, usłyszał szelest. Zaczął nasłuchiwać, ale dźwięk się nie powtórzył. Zastanawiał się, czy ktoś jest tam był. Kilka razy krzyknął, ale odpowiedziało mu tylko echo, powtarzając jego własne słowa.

Uznałby go za zwykłe złudzenie, gdyby nie światło, które nagle rozbłysło. Wszystkie lampy zapaliły się w jednej chwili, napełniając dworzec blaskiem. Oślepił go.

Po chwili otworzył oczy. Starał się dostrzec tego, który włączył oświetlenie, ale nikogo nie zobaczył. Był sam, przynajmniej tak mu się wydawało.

– Ta awaria instalacji elektrycznej.

Powtarzał te słowa, sam w nie nie wierząc. Powoli cofał się do drzwi. Chciał jak najszybciej opuścić budynek. Nie zamierzał w nim zostać ani chwili dłużej.

Zatrzymał się przy nich. Nacisnął klamkę, ale one uparcie pozostały zamknięte. Szarpał się z nimi przez kilka minut. Nie był w stanie zmusić ich do otwarcia, jakby coś więcej od zwykłego zamka trzymało je w miejscu.

Po chwili zrezygnował, to nie miało sensu. Musiał poszukać innego wyjścia. Na pewno było jeszcze jedno. Może nim uda mu się wydostać.

Powoli ruszył przed siebie. Z każdym krokiem czuł coraz wyraźniej, że nie jest sam. Starał się walczyć z tym uczuciem, ale ono stawało się coraz silniejsze. Co chwilę spoglądał do tyłu. Nikogo nie zobaczył, co tylko potęgowało jego lęk.

Opuścił główny hol i znalazł się na peronie. Zatrzymał się przy starej latarni. Nie mógł dalej iść z powodu mgły. Pojawiła się nie wiadomo skąd. Z każdą chwilą była coraz gęstsza. Otaczała go ze wszystkich stron, nie pozwalając mu się ruszyć. Obawiał się zrobić chociaż krok. Po chwili nie widział już nic, nawet torowiska, które było zaledwie kilka kroków od niego.

Usłyszał odgłos nadjeżdżającego pociągu. Nie spodziewał się tego. Do tej pory sądził, że wszystko, co widział, było zwykłą halucynacją. Teraz nie był tego pewien, ale wciąż pozostawało to jedynym rozsądnym wyjaśnieniem.

Po chwili zobaczył starą lokomotywę parową. Ciągnęła równie wiekowe wagony. Wyglądała jak żywcem przeniesiona z dziewiętnastego wieku. Pierwszy raz miał taką przed oczami. Do tej pory widywał je tylko w westernach.

Skład zatrzymał się tuż przed nim. Nikt nie wysiadł. Wagony były puste. W żadnym z okien nie dostrzegł ludzkiej twarzy. Przez chwilę miał tylko wrażenie, że w środku poruszył się jakiś cień.

– Pociąg do piekła zatrzymał się przy peronie pierwszym – nie wiadomo skąd rozległ się zimny, kobiecy głos, napełniając go jeszcze większym przerażeniem.

Nigdy nie słyszał o takim mieście. Czuł, że tym razem nie chodzi o miejscowość, ale o miejsce, w istnienie którego od dawna nie wierzył. Naprawdę mógł jechać do królestwa potępionych. Jego przypuszczenia potwierdziła delikatna woń siarki unosząca się w powietrzu.

Nie, to niemożliwe. Miał omamy. Bardzo chciał w to wierzyć, ale nie potrafił. Wszystko wokół było zbyt prawdziwe, aby było wymysłem jego wyobraźni. Nigdy jej nie miał.

Zrozumiał, że musi uciekać, jeśli chce ocalić coś więcej niż tylko życie. Zaczął biec w stronę dworca. Potknął się kilka razy, lecz nie zatrzymał się.

Znalazł się w środku. Także tutaj była dziwna mgła. Nie pozwalała mu wiele zobaczyć. Zatrzymał się, nie wiedział, gdzie są drzwi. Rozglądał się dokoła, ale nigdzie ich nie dostrzegł.

Usłyszał za sobą odgłos kroków. Odwrócił się zaskoczony. Zobaczył człowieka ubranego w mundur konduktora pochodzący sprzed wielu lat. Pierwszy raz taki widział. Mężczyzna zbliżył się do niego z surowym wyrazem twarzy.

– Poproszę o pański bilet!

Zaczął instynktownie przeszukiwać kieszenie. Dobrze wiedział, że żadnego nie ma. Tym większe było jego zaskoczenie, gdy w jednej z nich trafił na prostokątny kawałek papieru.

Wyciągnął go. Zobaczył, że trzyma niezwykle stary bilet. Kolejarz wyrwał mu go z ręki. Chciał protestować, lecz szybko zrezygnował z tego pomysłu.

– Pański pociąg już czeka!

Odał mu wejściówkę. Robert uważnie na nią spojrział. Od razu zaważył swoje nazwisko i cel podróży. Było nim piekło. W innych okolicznościach uznałby to za głupi żart, ale nie dziś.

Rzucił wejściówkę na podłogę. Chciał uciekać byle dalej od tajemniczego konduktora. Zanim jednak zrobił choć krok, ten podniósł porzucony przez niego kawałek papieru i podał mu z powrotem. Musiał wziąć go do ręki.

– Proszę się pospieszyć, pański pociąg niedługo odjeżdża!

Nie odpowiedział. Właśnie w tej chwili dostrzegł, że na dworcu jest więcej ludzi. Wyłonili się z mgły. Szli na peron. Trzymali w ręku takie same bilety co on.

Nie wiedział, czy są żywi, czy też martwi. Szli w milczącym podchodzie, zabierając go ze sobą. Nie był w stanie przepchnąć się przez tłum. Musiał iść razem z nimi, chociaż bardzo tego nie chciał.

Razem z potępionymi opuścił dworzec. Znalazł się na peronie, gdzie wszyscy ustawili się w równym szeregu. Z pobliskiego wagonu ktoś wyszedł. Nie był człowiekiem. Wprawdzie nosił kolejarSKI mundur, ale nie było w nim nic ludzkiego.

Szedł wzdłuż szeregu, przyglądając się podróżnym. Czasem zatrzymywał się przy którymś. Stał także przy Robercie. Wziął od niego bilet i przez chwilę mu się przyglądał. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Wiodłeś grzeszne życie, synu, zasłużyłeś na niego.

Oddał mu go i poszedł dalej. Wkrótce skończył obchód i powrócił do pociągu. Kazał wszystkim wsiadać do środka. Inni podróżni bez słowa ruszyli w stronę składu. Robert robił wszystko, aby się w nim nie znaleźć. Starał się opuścić peron. Było to niemożliwe w otaczającym go tłumie.

Wsiadł do wagonu. Znalazł się w przedziale drugiej klasy. Właśnie do niego trafiała większość podróżnych. Obok był pierwszej. Swoje miejsca zajęli w nim najwięksi zbrodniarze. Widział tam morderców i gwałcicieli.

Odwrócił od nich wzrok i podszedł do drzwi. Spróbował je otworzyć, ale ku jego rozpaczy były zamknięte. Szarpał się z nimi przez chwilę, bezskutecznie.

Musiał poszukać innego wyjścia. Rozpaczliwie rozglądał się dokoła, ale żadnego nie dostrzegł. Zdesperowany zbliżył się do okna. Miał nadzieję, że zdoła je otworzyć, ale okazało się to niemożliwe. Ktoś zadbał, aby pasażerowie jadący do piekła nie mogli wydostać się ze składu.

Robert zrezygnowany opadł na siedzenie. Już nic go nie uratuje. Był skazany na potępienie. Zaczął się zastanawiać, czym zasłużył na taki los. Nie był jakimś wielkim grzesznikiem, przynajmniej tak mu się wydawało do tej pory.

A może jednak? Czerpał z życia pełnymi garściami. Korzystał ze wszystkich jego przyjemności. Nie uważał tego za nic złego. Robił to samo, co inni. Znał ludzi będących najgorszymi bydlakami. Na ich tle uważał się za świętego.

Nie był nim. Skrzywdził najbliższą sobie osobę. Jego żona to skarb, teraz to widział. Zdradził ją wiele razy.

W pracy nie był lepszy. Podwładni nazywali go świnią i naprawdę nią był. Traktował ich jak śmieci. Uwielbiał ich zwalniać i upokarzać. Czerpał z tego dziką radość.

Po raz pierwszy w życiu zaczął żałować swoich czynów. Nie chciał trafić do świata potępionych. Żaden człowiek tego nie pragnął. Poczul strach, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał. Nie potrafił nad nim zapanować. Niewiele brakowało, aby całkowicie się rozkleił.

Zrozumiał, że jeśli jakimś cudem uda mu się wydostać z pociągu, zrobi wszystko, aby nigdy więcej do niego nie trafić. Postanowił się zmienić. Nie będzie to łatwe. Wiedział o tym, lecz wolał to niż wieczne potępienie.

Te rozmyślania przerwał mu odgłos kroków. Zaskoczony odwrócił głowę. Zobaczył konduktora. Szedł między podróżnymi, sprawdzając ich bilety. Mówił na głos ich grzechy.

– Pijaństwo, cudzołóstwo, kradzież, morderstwo... – powtarzał niczym upiorną litanię, coraz bardziej zbliżając się do Roberta.

W końcu do niego dotarł. Zatrzymał się przy nim. Musiał go rozpoznać, bowiem uśmiechnął się paskudnie. Żaden człowiek by tak nie potrafił. Widząc grymas na jego twarzy, Robert poczuł jeszcze większy strach. Nie myślał, że to możliwe.

– Twój bilet, synu!

Drżącą ręką podał mu kawałek papieru. Kolejarz przyglądał mu się przez chwilę. Trwało to znacznie dłużej, niż w przypadku innych podróżnych. Odezwał się dopiero po chwili, przerywając grobową ciszę, jaka niespodziewanie zapadła w wagonie.

– Skrucza? Żałujesz swoich czynów, synu?

– Tak! – odpowiedział, nie wiedząc, skąd wziął na to siły.

– Okazałeś żal za grzechy, ale jest już za późno. Gdybyś zrozumiał swoje błędy za życia, byłbyś ocalony.

– Wypuść mnie, zapłacę ci.

– Pieniądze tutaj nic nie znaczą.

– Dam ci wszystko, co mam. Nie pozwól mi iść do piekła!

Konduktor nie odpowiedział. Zamiast tego chwycił go za ubranie i uniósł w górę. Zbliżył się do niego. Dzieliło ich kilka centymetrów. Robert czuł jego oddech. Śmierdział siarką. Widział oczy pełne okrucieństwa.

– Zasłużyłeś na ten bilet. Za życia miałeś czas zmienić swoje życie. Teraz jest za późno.

Kolejarz go puścił i poszedł dalej. Robert stracił ostatnią szansę ratunku. Do tej pory mógł kupić wszystko. Myślał, że po śmierci będzie tak samo. Mylił się.

– ...alkohol, zazdrość, przemoc...

Wagon wypełniała upiorna litania grzechów. Starał się jej nie słuchać. Nieważne, co robił, docierała do jego uszu. Została zagłuszona dopiero po chwili. Usłyszał krzyk. Jeden, potem kolejny. Wszystkie pełne niehumanitarnego bólu. Zrozumiał, że dojeżdżają do stacji końcowej.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Nie powinien był tego robić. Dostrzegł czerwoną łunę bijącą pośrodku otaczającego ich mroku. Niebawem zobaczył bramę wykutą z żelaza. Za nią była rzeka lawy. Ujrzał ciała unoszące się na jej powierzchni.

Upadł na kolana. Nie wierzył w istnienie piekła, a niedługo miał się w nim znaleźć. Bał się. Nie, był przerażony. Ogarnął go lęk, jakiego nie mógł doświadczyć jako człowiek. Pierwotny, wpisany w jego duszę.

– Jeszcze raz! – Usłyszał głos. Nie pochodził ze składu.

Ogarnęła go ciemność. Pociąg jadący do krainy potępionych i jego pasażerowie zniknęli. Ból ogarnął całe jego ciało. Nie myślał, że po śmierci można go czuć. Może był już na stacji końcowej? Spróbował otworzyć oczy. Chciał sprawdzić, czy to prawda.

Bał się, że zobaczy kotły pełne smoły i nigdy niegasnący ogień. Nic takiego się nie stało. Zamiast demonów ujrzał ludzi w bieli. Nie byli aniołami. Nie mieli skrzydeł ani aureoli. Nosili lekarskie fartuchy.

– Żyje – powiedział jeden z nich.

Mówił o nim. Czy to znaczy, że wrócił z zaświatów? Spróbował unieść głowę. Ból uświadomił mu, że to nienajlepszy pomysł. Zdołał jedynie delikatnie ją obrócić. Kątem oka dostrzegł swój samochód, a raczej to, co z niego zostało. Przypominał zgniecioną puszkę. Robert nie miał prawa przeżyć wypadku, mimo to mu się udało.

Ratownicy przenieśli go na nosze. Te natychmiast włożyli do karetki. Pojazd na sygnale ruszył w stronę szpitala. Ten dźwięk był dla niego niczym najwspanialsza muzyka. Żył, nie trafił do piekła.

Przekręcił głowę i wtedy obok swojej dłoni dostrzegł kawałek papieru. Był to bilet kolejowy. Taki sam, jak ten, który miał na dworcu. Napisano na nim jego nazwisko. Tylko jedno miejsce było wolne. To z celem podróży.



ĆMA POCHŁANIAJĄCA KOSMICZNĄ PUSTKĘ

Paweł Dawidowicz

Aneta szczerzej otuliła się tanim płaszczem i wsunęła pulchne dłonie o zadziwiająco ładnych paznokciach – pięknie wymodelowanych, pokrytych nietuzinkowym lakierem w kolorze rozgwieźdzonego nieba – do kieszeni napęczniałych od papierków po snickersach, lecz bliskość stojącego w pobliżu przystanku śmietnika nie zmotywowała dziewczyny do ruchu. Wciśnięta w róg wiaty, wypatrywała spóźniającej się 102, a oczekiwanie na chłodzie

późno październikowego, wietrznego wieczoru wzmagало natarczywe myśli o kolejnym batonie czającym się w torebce. Później, gdy wsiądzie do autobusu, pozwoli słodczy skapywać w ciemność, na moment zalepić jedną ze szczelin, przez które przezierala pustka. Zgrzytnęło, wionęło spalinami i już sadowiła się w autobusie, odruchowo patrząc przez okno, na wbitą za przystankiem księgarnię naukową. Niedogrzone, szaro oświetlone wnętrze pojazdu było marną oprawą dla rozkoszy płynącej z pożeranego marsa, lecz ta chwila ulgi dała Anecie impuls do kilku refleksji i paru wspomnień.

Jak co roku odmówiła nieszczerym zaproszeniom koleżanek ze studiów na halloweenowe imprezki. Otyła i trochę zaniedbana Aneta nie starała się nadrabiać niedostatków urody jowialną serdecznością, gdyż wcześniejsze próby przełamania nieśmiałości lądowały w zabetonowanym magazynie najbardziej żenujących wspomnień. Zamknięta w sobie, nakręcana obsesyjnymi myślami, zapętlonymi z fizjologicznymi bodźcami, niezdarnie unikała rozbryzgów wartkiego strumienia uczelnianej społeczności. Azylem były książki czytane w tchnącym wilgocią pokoju niewielkiego mieszkania na Żoliborzu dzielonego z na wpół głuchym dziadkiem. Książki i słodczy. To było wszystko.

Lecz wszystko nie starcza na długo, tym bardziej, że rozziw między barwną pełnią przeżyć wyrastających ze stronic lektur a jej bytowaniem ssał boleśnie, wołając o izolację z cukru i tłuszczu. Zatem coś bezosobowego, bardziej abstrakcyjnego. Czerni kosmosu, nakrapiana zimnym blaskiem, pożyczkowym mglistymi smugami, ciemna materia, enigma zaprogramowana na obojętność. Internetowe strony dotyczące astronomii pochłonęły ją na czas jakiś, lecz natrętność pulsujących witalnością reklam skaczących po ekranie wymusiła sięgnięcie dodrukowanych źródeł. Spenetrowawszy antykwariaty w okolicy i centrum, wiedzona charakterującym papierowych eskapistów instynktem, wywęszyła bogate złożę po prawej stronie Wisły, a teraz miała nader ważki powód do tej wyprawy. Tamtego deszczowego dnia po piątkowych zajęciach prosto z uniwersyteckiej bramy skierowała się ku przystankowi, skąd miała autobus bezpośrednio na Grochów, do antykwariatu, w którym spodziewała się znaleźć unikatową publikację zawierającą nader frapujący ustęp traktujący o czarnych dziurach. Owe zapadające się pod własną masą, przeżuwające swe otoczenie na niewyobrażalną miazgę niebyty budziły w niej trwożną fascynację, kojącą czernią farbując brzydką doraźność.

Nader prawdopodobne, iż pierwotnym owej fascynacji źródłem był sen, jaki nawiedził ją podczas czerwcowych upałów, choć niewykluczona była odwrotna droga, gdzie sen był echem jej rozmarzeń. Nie sposób było jej tego rozsypać, gdyż te dni jesienne przeżywała,

jakoby przemierzając utrudniające zaczerpnięcie tchu, wodniste przestrzenie jarzące się srebrzyście na krawędziach pola jej widzenia.

Ów sen, o niespotykanej, namacalnej wręcz wyrazistości i obsesyjnej szczegółowości, przyszedł, kiedy opita gorącą czekoladą przysypiała w górnym rzędzie auli podczas późnego, monotonnego wykładu. W tymże śnie wchodziła na strych domu, który kiedyś dobrze знаła. Lecz kiedy i gdzie to było? Zapewne w innym, zapomnianym śnie.

Wiodące na strych schody zdumiewały masownością, wejście przesłaniały szmaty zdające się być stężalym kurzem, a wewnątrz pachnące opuszczoną kwiaciarnią wypełnione było kalekami meblami, których nieporadnie czepiały się popsute maskotki, oraz rozwalonymi pudłami wyrzgującymi sterty zeszytów i kartek. Podłoga była zagracona rozkręconymi i powykrzywianymi elementami lunet, teleskopów i innych niepoddających się rozszyfrowaniu urządzeń. Całość rozświetlało tępo pulsujące światło, w które rzucały się dziesiątki nocnych motyli. Z grozą pojęła, że to ona była źródłem owego światła, a nieustępliwe natarcie owadów, na które jej powieki odpowiadały nerwowym trzepotem o oślepiającej intensywności pędu owadzich skrzydeł, spychało ją w jeden z kątów strychu, osobliwą geometrią rozmieszczenia wywołujących zawroty głowy, ku któremu bijący z dziewczyny blask nie sięgał, a wręcz zdawał się ów „niby narożnik”, owo światło pożerać. Pchnięta w spowity cieniem kąt, uległa oblewającej czerni, aż spragnione światła ćmy rozleciały się z bezdźwięcznym piskiem, a ona, pochylona i przygaszona we wszechwładnym mroku, objęła owinięty w płótno, kanciasty, spory przedmiot, uniosła go, lecz jego masa pchnęła ją w dół ku ciężkiemu, przepełnionemu mdłościami przebudzeniu w opustoszałej auli nawiedzanej przez naburmuszoną sprzątaczkę. Ów sen przysiadł w jej świadomości na kolejne tygodnie, póki w jej telefonie nie pojawiła się pewna elektryzująca wiadomość, która obecnie kierowała ją na drugą stronę Wisły.

Z brzemiennej wspomnieniami zamyślenia wyrwały Anetę przenikliwe chichoty wypacykowanych czarownic zamierzających na halloweenowy sabat, które piskliwie dzieliły się emocjami wydzielanymi z telefonicznych wyświetlaczy. Kolejny bluzg śmiechu zahaczył jej przeczuloną uwagę. Nie myliła się, był skierowany ku niej. Jej niemodne odziana, zwalista sylwetka, wiecznie – mimo nieustannej pielęgnacji – przetłuszczona, ufarbowane na nijaki kolor włosy, trądzik, który korektor jedynie podkreślał, i bezbronna nieprzynależność spojrzenia nieodmiennie wywoływały pełne samozachwyty drwiny u tych wiotkich, tryskających zmysłową radością i stylową akuratnością insektów, które wylęgły się w miejskich aglomeracjach u progu XXI stulecia, by w drugiej dekadzie wieku na dobre się rozpanoszyć. Niczym tknięty ślimak chowający czułki prędko uciekła wzrokiem ku

rozmałej brudnoszarym deszczem szybie i znieczuliła świadomość płachtami czarnej nieskończoności, niedbale dzierzążącej chybione wykwity materii.

Według mapy Google od końcowego przystanku do antykwariatu było niedaleko, lecz jakiś czas mokła pod przeciekającą parasolką, błędząc po zasiedlonej menelami i psowyprowadzaczami okolicy z małomiejska niewysoko zabudowanej i przyjaźnie nijakiej. Jedynie rażny wiatr szastający złocisto-karmazynowymi, w swym nieuchronnym upadku nieodparcie powabnymi liśćmi kontrpunktował szarą bylejakość zadziwiającą tęsknotą. Październikowy zmrok nie pomagał w orientacji, wzmagając w dziewczynie niepokój, czy aby zdąży przed zamknięciem.

Zdażyła. Skręciwszy w krótką uliczkę, ujrzała szyld antykwariatu przyklejonego do akademika, w kontraście do szarego pudełka budynku apetyczny niczym wedlowska czekolada. Wyglądiała wtoczyła się przez drzwi, by w przejściu do pomieszczenia pachnącego książkowym kurzem i kocią sierścią, miodowo opalizującym spłowiałymi brązami wystroju, zderzyć się ze strachem na wróble. Łachmany wychrypiały coś mogącego być zarówno przeprosinami, jak i przekleństwem, by bezszelestnie, przenikając niemal przez drzwi, wynieść się w deszcz i jesienny wieczór. Lekko speszona niemiłym zajściem podeszła do kontuaru z zawczasu napisanym tytułem, rzekomo znajdującym się zasobach owego przybytku. Nie mówiła płynnie w żadnym obcym języku, lecz lata mozolnej, szkolnej nauki niemieckiego sprawiły, że od biedy mogła coś przeczytać, a ta książka, tylko w drobnym, acz ponoć osobliwie poruszającym fragmencie, poświęcona obecnie ją zajmującej tematyce, została napisana po niemiecku.

– *Unaussprechlichen Kulten*, autor Friedrich Wilhelm von Junzt – przeczytał sympatyczny, ogolony na łyso sprzedawca. – Niesamowite, dosłownie przed minutą sprzedałem książkę osobie, z którą się pani... rozminęła – dokończył dyplomatycznie.– To był unikat, wzięliśmy zań przeszło 2000 zł gotówką. Jeszcze nie daliśmy info na stronę o książce, skąd pani wiedziała, że ją mamy?

– Wiedziałam... bardzo jej potrzebowałam – wybełkotała Aneta. – Właściwie tylko fragment z tej książki chciałam przeczytać – dodała zgaszonym głosem. Poczula, jakby zeszło z niej powietrze, a w opróżnionej przestrzeni zawirowała rozchichotana pustka.

– Przykro mi. – Sprzedawca wydawał się naprawdę strapiiony wyraźnym żalem dziewczyny.– Może uda się pani skontaktować z tamtym klientem, w końcu oboje państwo tak szybko dowiedzieliście się o książce, może to jakiś znajomy z internetu, z którym nie znacie się w realu. To naprawdę, nietypowa publikacja, więc...

– Nie, nie, dziękuję. – Anecie niemal zrobiło się szkoda wyraźnie zmartwionego, sympatycznego sprzedawcy. Szczerze miłych ludzi nie spotyka się często. – A to nie był przypadkiem stały klient, nie ma pan kontaktu? – Roznieciła dogasającą nadzieję.

– Nie, ale to dość charakterystyczna postać, chyba dwukrotnie mignęła mi, jak wracałem z pracy, w pobliżu... – Wymienił nic jej niemówiącą ulicę, lecz wyraz twarzy dziewczyny skłonił go do wypisania na kartce nazwy, którą Aneta chwyciła drżącymi, serdelkowatymi palcami o pięknych paznokciach, podziękowała i wyszła ku szyderstwu deszczowego zmroku. Pożerająca pustkę nadzieja, którą karmiła od tygodnia fikcją na niebywały fragment książki, który mógł choć na moment wypędzić z niej dojmujące łaknienie, skowycząc, uciekała w szarą beznadzieję warszawskiej uliczki.

Sympatyczny sprzedawca wziął potężny łyk wystygłej herbaty, rozglądając się za Rezydentem, kocurem przybędą zamieszkującym antykwariat, jednocześnie pocierając skronie, na których przysiadła mu senna ociążałość przyoblekająca otoczenie w rozfalowane głębiny wód. Pomyślał, że musi zbadać ciśnienie, a z książką dziwna sprawa. Wygrzebany z przywleczonej przez jakiegoś degustatora win sterty nieaktualnych podręczników, lektur szkolnych i zeszytowych edycji Karola Maya wolumin o mocno zniszczonej, chyba skórzanej poligrafii, z intrygującymi osobliwie niepokojącym frontysem został przez pana Marka, właściciela antykwariatu, przepuszczony przez Google, lecz internet zaczął się krztusić, wypluwając jakieś aukcje wieńczone kosmicznymi kwotami, by po chwili zatrzaskać okienka i odpowiadać pustką w wyszukiwarkach na każdorazowe wpisywanie tytułu.

Aneta, niczym ogłuszona, powlekała się ku przystankowi, lecz na widok pubu Grochownia (część jej świadomości złośliwie skomentowała monotematyczność lokalsów, jako że antykwariat, którego drzwi przed chwilą się za nią zamknęły, był „grochowski”), uznała, że na pociechę potrzebuje czegoś słodkiego, a może i lampki wina, i już po chwili przeżuwała ciastko bezowe wraz z rozczarowaniem. Przecież gdy przeszło tydzień wcześniej dowiedziała się o nadwyraz oryginalnych spekulacjach względem czarnych dziur, gdy tylko Piotrek wysłał jej smsa z tytułem... Piotrek... Dobry Boże! Łyzeczka wypadła ze zdrętwiałej ręki dziewczyny, zakręciło jej się w głowie. Piotrek był kimś na kształt... przyjaciela chyba. Przegrywał jej płyty (dyskografię Williama Basińskiego, Tima Heckera i Lustmorda i inną tego typu muzykę, która nie raziła jej boleśnie zaognionej odrębności, tylko obejmowała ją i zanurzała w nieczułych, nieprzeniknionych odmętach dźwięków, by na chwilę rozpuścić w nich jej rozdygotaną nadwrażliwość). Pamiętała długie, pseudofilozoficzne dysputy. Często przywoływała jego stwierdzenie, że „skoro wszystko jest nicością, to jedyne, czym

prawdziwie dysponujemy, to wyobraźnia, zatem nie ma przeszkód, by ją właśnie uczynić punktem odniesienia wszystkiego”.

Piotrek był chuderlawym, ospowatym gejem, narkomanem i okultystą amatorem, których to pasji realizowanie ułatwiały mu samotność i pieniądze przesyłane przez rodziców, którzy za pracą wyjechali do Stanów. Spłonął wraz z całym domem podczas niewyjaśnionego wypadku, ponad trzy lata temu!

Co się ze mną dzieje? – pomyślała, rozlewając wino trzęsącą się dłonią. Ponownie zrobiło jej się słabo, więc niepomna parasolki, wybiegła na ulicę, której oszczędne, wieczorne oświetlenie ulegało pędzonej wiatrem, przemożnej czerni wieczoru.

W tym czasie mniej więcej sympatyczny sprzedawca z antykwariatu, kontynuując nawoływanie Rezydenta, sięgnął do szuflady, w której schował skrupulatnie zweryfikowane pod względem autentyczności, zainkasowane za wzbudzającą tak niecodzienne zainteresowanie dziwaczną księgę pieniądze.

– Co, kurwa?! – Zdumienie prędko przecięło krzyk, ciszą pieczętując przestrzeń frenetycznie rozmigotaną setkami ciem, gwałtownie wyrojonych z przegródki, gdzie około kwadransa wcześniej zostały odłożone banknoty. I w tej rozdygotanej ciszy owady wirowały i przysiadły na książkach i komiksach, starych meblach i bibelotach, kilka wleciało do rozwartego pyszczka zdrętwiałej, niedawno jeszcze ciepłej istoty desperacko wciśniętej pod najdalszą od wejścia półkę, a dwa opadły delikatnie na powieki niemilosiernie odsłaniające znieruchomiałe, a niebawem zamglone spojrzenie sympatycznego sprzedawcy.

Tymczasem Aneta ruszyła ku przystankowi mroczniejącą uliczką. Zwróciła wzrok ku górze w próbie odnalezienia spokoju w znajomej stałości gwiazd, lecz choć deszcz ustał, niebo wciąż kryły chmury. Po drodze sprawdziła telefon, na którym nie zapisał się żaden sms z zaświatów. No ale przecież książka faktycznie tam była, została sprzedana, a nawet otarła się o jej obecnego posiadacza. Księga... Piotrek. Dziewczyna wspomniała ogniska urządzone na działce, jaką rodzice Piotrka zbudowali nad morzem, gdzie czas – poza oglądaniem głupawych filmów, opychaniem się i eksperymentowaniem z halucynogennymi specyfikami – spędzali, ślęcząc nad niezrozumiale odrażającymi rycinami zawartymi w osobliwej księdze przesłanej mu przez dziadka, zdziwaczałego, osiadłego w jakiejś dziurze w Nowej Anglii odludka, niechętnie wspomnianego przez rodzinę z powodu niejasnych plotek i przykrych insynuacji związanych z jego osobą.

Szczególnie mocno w pamięci wyryło się jej zdarzenie wieńczące jedno z owych działkowych spotkań „literackich”, choć w istocie ponura mglistość owego wspomnienia jawiła się bardziej niczym sen niż fakt z jej życia. Podówczas Piotrek uraczył ich jakimiś

niewiadomo skąd zdobytymi tabletkami, rzekomo sporządzonymi na bazie ziół rosnących nieopodal świętej góry Uluru, używanych przez australijskich Aborygenów podczas obrzędów nieznanym żadnemu antropologowi. Stąd być może to poczucie chaosu i zagubienia towarzyszące jej, gdy postanowiła przespacerować się boso (wszak lato było gorące, a okolica wyjątkowo czysta) wzdłuż plaży. Szła jakiś czas, gdy duszny zmierzch zaczął roztaczać nad lustrem wody dosyć niecodzienny widok, lecz nie tak dziwny, jak wysunięte w tonącą w mgłach, morską dal molo, którego w tej znanej sobie okolicy zupełnie nie kojarzyła. Zaciekawiona, wstąpiła na szerniałe, grawerowane solą deski i ruszyła przed siebie. Odczuła silny podmuch, zachwiała się, niemal tracąc równowagę, mimo to ponowiła wędrówkę po wąskim molo omiatanym nad wyraz ciepłym, potężnym wiatrem wzbudzającym toń, której rozbryzgi smagały odświeżającą przyjemnością ciepła, niemal nienaturalnego dla Bałtyku. Kontrapunktem owych wrażeń był wyraźnie odczuwany, wręcz lodowaty, lejący się z góry chłód. Po aborygeńskim specyfiku popitym tanimi piwami Anecie nieco kręciło się w głowie, tak iż rozrzucone na wodzie, wyjątkowo świetliste boje zdawały się krążyć wokół niczym karuzela. Wrażenie to potęgowało widmo jakoby cyrkowej muzyki rozbrzmiewające w jej głowie.

W tym momencie postanowiła zawrócić, lecz obejrzawszy się, ujrzała, iż musiała odejść od brzegu o wiele dalej, niż sądziła, gdyż pływające się w poszkarlatniałych teraz, mgielnych oparach molo zdawało się ciągnąć bezkresnie.

Zaniepokojona, ponownie obróciła się w kierunku morza, aby niemal zachłysnąć się zdumieniem na widok nieodległych, sugerujących nadbrzeżne zabudowania światła. Ruszyła w ich stronę, lekko chwiejąc się od potężnych słonych podmuchów, by po kilku minutach zejść z mola na brzeg, którego otoczenie, nie tłumacząc niczego, potęgowało niepokojące zadziwienie. Odnalazła się, idąc ulicą pośród pachnącej przeszłością zabudowy, w której dominowały niewysokie i lekko zaniedbane, acz solidnie wyglądające domy o jakby śródziemnomorskim charakterze podkreślonym pionowymi, szczelnie zasuniętymi roletami okiennymi. Ich fasady oblewało blado-żółtawe światło nad wyraz regularnie rozmieszczonych latarni, niedocierające jednak w mijane zaułki, ziejące intensywną czernią i słono-słodkim zapachem nadmorskiego rozkładu. Iluminacja uliczna, choć skąpa, ułatwiała wędrówkę w obcej okolicy, jednocześnie ujawniając absurdalną obcość języka, jakim obwieszczaly się szyldy sklepów i innych budynków usługowych, aczkolwiek tym szczególnie coraz mniej się przejmowała w miarę przedłużającego się, enigmatycznego i bezowocnego spaceru. Sporadycznie pojawiający się przechodnie zdawali się poruszać według jakiejś odmiennej, niewytłumaczalnej trajektorii, gdyż wszelkie próby kontaktu

wieńczyło rozminięcie z pozornie obiektywnych przyczyn, nieoczekiwanego skrętu w boczną uliczkę, nagłej zmiany kierunku, niespodziewanego zniknięcia w niedostępnym budynku. Podobnie rzecz miała się z przejeżdżającymi w pobliżu samochodami i ta niezrozumiała dysharmonia zaczynała napępniać Anetę znużeniem zaprawionym lękiem. Do tego mocno bolały ją bose stopy, a spływające z nieba zimno stawało się coraz dotkliwsze.

Spojrzała w górę, gdzie w przesmyku między domami jarzyło się lodowato szydercze spojrzenie gwiazd zdających się być zawieszonymi niemal nad poziomem dachów. W tej chwili jakaś znajoma miękkość przeszła jej łydkę zmysłową elektrycznością i zobaczyła znikający za rogiem poprzecznej uliczki koci ogon. Wspomniawszy nieodżałowanego Mruczka, towarzysza z dzieciństwa, i uznawszy to za dobry omen, postanowiła w miarę możliwości podążyć za owym przewodnikiem. Skręciła w uliczkę, która okazała się nader wąska, tak iż dachy przeciwległych domów niemal nachodziły na siebie. Słabe światło latarni pozwoliło dostrzec czworonoga zmierzającego ospale przed siebie. Przykucnęła, nawołując „kici, kici”, na co zwierzę przystanęło, lecz po sekundzie podjęło wędrówkę, a dziewczyna podążyła za nim. Stworzenie kluczyło krętymi uliczkami w tempie, które nie dopuszczając jej na zbyt bliską odległość, zarazem pozwalało iść bez obawy stracenia przewodnika z oczu, co w pewnej mierze podnosiło na duchu, choć na odcinkach wyraźniej oświetlonych anemicznym blaskiem latarni zdawała się postrzegać jakąś niepokojącą nieprawidłowość, coś w związku z kotem, czego zmęczona i zagubiona świadomość nie była w stanie ani nie miała chęci sprecyzować.

Idąc wzdłuż arkad, na nieco szerszej i lepiej oświetlonej ulicy, Aneta odniosła wrażenie optycznej anomalii perspektywy, w niepojęty sposób rozciągniętej. Jakby znalazła się w nocnym negatywie *Tajemnicy i melancholii ulicy* Giorgio de Chirico. W tym momencie zorientowała się także, iż cień, za którym podążała o dłuższego czasu, znikł z pola widzenia. Zatrzymała się i oparła o drzwi najbliższego budynku, by namyślić się nad dalszymi krokami, gdy poczuła znajome, błogie ciepło kociego grzbietu ocierającego się o nogę. Kucnęła, delikatnie chwyciła zwierzaka w rękę i rozczulona, zbliżyła do policzka, by zakrzusić się własnym strachem na widok przeżartego czasem i chorobą, bezzębego oblicza starej kobiety syczącego jej w zdrętwiałą z przerażenia twarz. Zrobiło się jej niedobrze i upadła.

Nastała ciemność. Chyba nie trwała długo, gdyż Aneta poczuła uchylające się drzwi, pod którymi leżała, i jakieś silne dłonie wciągnęły ją w głąb budynku. Po chwili stanęła o własnych siłach i wparta na czyimś ramieniu zmierzała ciemnym, pachnącym starym drewnem korytarzem ku ciepłej poświacie za uchylonymi drzwiami na jego końcu. Był to moment, w którym zorientowała się, iż otacza ją doskonale absolutna cisza, w której nie tylko

nieślyszalnymi były jakiegokolwiek odgłosy z zewnątrz i dźwięk stóp na posadzce, lecz nawet własnego oddechu nie słyszała. Przekroczyła próg pokoju skąpanego w bursztynowym świetle sączącym się z secesyjnych, dyskretnie rozmieszczonych lamp. Stopy pieściła miękkość dywanu, podczas gdy towarzysząca jej postać podprowadzała dziewczynę ku zachęcająco wyglądającej sofie, na której Aneta ułożyła się ulegle, z wdzięcznością przyjmując ciepły, granatowy koc haftowany srebrną nicią w dziwne konstelacje, jakim zostało opatulone jej przemarznięte chłodem lejącym się z firmamentu ciało. Beznamiętnie rozejrzała się po niedużym, staroświecko umeblowanym pomieszczeniu. Uniosła się niecona widok postaci siedzącej w stojącym na przeciwko sofie, obszernym fotelu. Tej, która ją tą gościnnie podjęła, przyobleczonej w wytworną suknię o barwie zieleni słońca lejącego się przez gałęzie dębiny na polanę w letni dzień, suknię okrywającą kobiecą sylwetkę o kociej głowie.

Zatem, gdy uniosła się na ów widok i złożyła usta, by wypowiedzieć niewysławialne... Gospodyni uniosła palec do pyszczka w odwiecznym geście milczenia i tajemnicy, po czym z niewyobrażalną gracją wstała i podeszła do stojącego nieopodal wiekowego patefonu z misternie grawerowaną tubą w kolorze starego złota i nastawiła płytę. Muzyka była pierwszym dźwiękiem, jaki Aneta usłyszała od chwili zanurzenia się w owej nieludzkiej ciszy, była to jakaś stara, zapewne jeszcze przedwojenna, rzewna melodia, niemal zatopiona w szumach i trzaskach dokomponowanych przez czas i zniszczenie, z powracającym, jakby zapętlonym, wiodącym motywem melodycznym. Monotonna repetycja, nasuwająca skojarzenia z *The desintegration Loops* Williama Basińskiego, w połączeniu z ukojonym przez ciepło i wygodę zmęczeniem wprawiły Anetę w ociążale w hipnotyczny stan i ukołysały do snu.

Przebudziła się. Wokół było ciemno i cicho. Muzyka umilkła, lecz pozostałe dźwięki odzyskały swą naturalną wypukłość. Chyba była sama w pokoju. Owinięta kocem, zbliżyła się do drzwi, jak się okazało, prowadzących bezpośrednio na zewnątrz budynku. Otworzyła je na noc i pustą przestrzeń nasączoną zapachem kwiatów i morza. Widmowo opalizujące kształty kołysały się wokół, rozsiewając usypiające wonie. Był to ogród. Mimo ciemności dziwne, kuliste lampy oraz polarnie rozjarzone gwiazdy dawały wystarczające światło. W ogrodzie stała osobliwa przypominająca stracha na wróble postać. Aneta powoli zeszła po niskich schodach i zbliżyła się do "stracha". Ów osobnik o twarzy zakrytej narzuconą na kapelusz woalką tulił w ramionach jakiś pakunek. Ów dziwny osobnik trwał nieporuszenie, milcząc ogłuszająco, a ona podeszła doń bliżej z nieodpartym, acz ulotnym wrażeniem powracającego snu, jaki nieraz przywiedzie naszej pamięci promień zmierzchliwego słońca zawieszony w pajęczej sieci. Nieśmiało wyciągnęła dłoń i uniosła woalkę, by widok twarzy

uchylił furtkę wspomnień, lecz pod siateczką nie było żadnej twarzy, a jedynie kłębiące się z furkotem ćmy, które wyfrunęły niezliczoną chmarą z pod kapelusza i wyprysnęły ku światłu i zgubie, a stojąca jeszcze przed chwilą sylwetka osunęła się do jej stóp niczym marionetka, której podcięto sznurki. Pozostał jedynie kłęb starych szmat, wśród których coś się szamotoło. Przepelniona trwożliwym zdumieniem dziewczyna chwyciła podziurawioną i połataną czarną materię, spod której wybiegł kot, by w okamgnieniu pomknąć schodami i zniknąć za uchylonymi drzwiami opuszczonego przez Anetę pokoju.

Uwagę dziewczyny przyciągnął leżący w trawie upuszczony tobołek. Tenże okazał się być marynarskim workiem z wyraźnie widoczną dla pochylonej, oblanej widmową poświatą dziewczyny, wyszytą nazwą „Insmouth”, a zawinięta weń była księga, tak wiekowa, że jej zapach przywoływał obrazy pradawnego szlamu, z którego wypełzały pierwociny życia. Sięgnęła po ów wolumin, by klęcząc w spływającym oszczędnie chłodnym świetle nocnego ogrodu, przy domu zatopionym w granatowej pustce, namiętnie chłonać tekst, który ujęty w misterne zawijasy, zdawał się pulsować w kruszących się, pergaminowych stronicach. Czytała, a zdania odczuwała jak piętno wypalane w świadomości, choć księga napisana została w nieznanym języku, czasem zdawało się jej, że francuskim, chwilami, że niemieckim, często strony zapełniało pismo nieprzypominające żadnego znanego ludzkości alfabetu. Szczególnie jeden ustęp, z rozdziału zatytułowanego *Traktat o czarnych dziurach, albo ćma pochłaniająca kosmiczną pustkę*, znalazła niepojęcie dla siebie ważkim, jakby jej całe jestestwo odeń zależało. Czytała go raz po raz, chcąc wyryć w swej pamięci po kres, gdy gwałtowne szturchnięcie w ramię sprawiło... że przebudziła się ponownie, z ustami wypełnionymi mokrym piaskiem, skulona pośród kamyków, muszelek i papierków po cukierkach, podczas gdy oczyszczający plażę pracownik sanitarny, ujrzawszy, że nie ma potrzeby wzywania karetki ani straży miejskiej, odsunął od niej chwytek i ze wspartym na doświadczeniu męstwem nadział na szpikulec skórki od banana. Oszołomiona Aneta pozbierała się i utykając, oddaliła w znaną sobie stronę, przed porannym chłodem opatulając się ciaśniej lekko przemoczonym kocem haftowanym w osobliwe gwiazdy, a w głowie tętniło jej zanikające echo przedziwnego traktatu, którego znaczenie blakło z każdym jej krokiem, pozostawiając niezrozumiale bolesne widmo żalu podobnego temu, który jej towarzyszył w tych rzadkich chwilach, gdy pozwalała myślom pobiec ku rodzicom, których nigdy nie poznała.

Przyobleczone w dres ramię spieszącego ku własnej bądź cudzej zagładzie młodzieńca wraz z uprzejmym „jak leziesz, tępą pizdo” przerwało brutalnie tok jej wspomnień. Przywykła do podobnych uprzejmości dziewczyna sięgnęła do kieszeni, by wysupłać

spomiędzy papierków po batonikach zapisany przez Sympatycznego Sprzedawcę adres i z zaskoczeniem stwierdziła, iż obie wpisane ulice stanowią narożnik, przy którym miała przystanek w stronę domu. Wciąż wzburzona niedawnym odkryciem, nie zmartwiła się widokiem odjeżdżającej 102, którą mogła dotrzeć w swoje strony. Miała czas, by rozejrzeć się po okolicy, mimo stosunkowo wczesnej pory zdającej się być wyludnioną, jedynie w oddali jakaś chwiejna sylwetka zmagająca się z szarpaną smyczą i coraz natarczywszym wiatrem. Odwracając się od ulicy w kierunku przystanku, mogła zobaczyć rzadki szpaler drzew, za którym stał odgradzony siatką, szereg trzypiętrowych domów o mansardowych dachach, najpewniej z przełomu lat 40/50. Uwagę przyciągnął narożny budynek, który pozornie nie różniąc się od towarzyszy, zdawał się mocniej grzęznąć w wieczornym mroku niemrawo rozpraszanym oszczędnie rozmieszczonymi latarniami. W zasadzie światło zdawało się go niemalże omijać, choć może efekt ów został wywołany tym, iż ciemności nie rozpraszał blask zza żadnego z okien poza jednym, choć owo szare światło wydobywające się zza najbardziej narożnego okna na trzecim piętrze było raczej dziecięctwem ciemności dopiero wzrastającej w dojrzałość niż rzetelnym, światotwórczym blaskiem, jakim bywa najzwyczajsza żarówka. Dudniący bełkot rapopolo z przejeżdżającego samochodu na moment wyrwał Anetę z zapatrzenia, a w stronę przystanku zbliżał się kolejny autobus. Nie w pożądanym przez nią kierunku, lecz samozachowawczy instynkt popychał ją do skorzystania z okazji by jak najszybciej oddalić się z tej okolicy, nieważne dokąd. Z tym że autobus żadnej linii nie wywiózłby jej od niej samej.

Ponownie zwróciła się w stronę ciemnego budynku, by ujrzeć, iż tym razem sinoświatłe okno wypełnia sylwetka – postać w szerokoskrzydłym kapeluszu i postrzępionym płaszczu, który falował, jakoby przyoblekał kogoś stojącego na targanym przez wiatr wrzosowisku, a nie w zamkniętym pomieszczeniu. Strachopodobny klient antykwariatu!

Ruszyła w kierunku domu, niemal zderzając się z przebiegającymi chodnikiem poprzebieranymi za duchy dzieciakami, które otoczyły ją, wrzeszcząc „Cukierek albo psikus! Cukierek albo psikus!”, na co Aneta wrzuciła do nastawionej torebki zmięte papierki po batonach i popędziła, zmagając się z gwałtownym podmuchem wiatru, który wzniecony raptownie, szarpnął konarami drzew wczepionych w pobliski trawnik, niemalże odzierając je z przed chwilą jeszcze niemal kompletnej szaty jesiennych liści, które wirującym barwnym deszczem jęły opadać wokół dziewczyny dobiegającej klatki ponurego budynku. Szczęściem drzwi na korytarz stały otworem i po chwili zdyszana Aneta wspinała się woniejącą szczykami klatką schodową na trzecie piętro. Gdy weszła na drugie, sięgnęła ku włącznikowi światła. Jarzeniówka odpaliła z bzyzieniem, by rozmigotać się niezdrową barwą, miast

jasności niosąc nerwowy chaos, który otępiałym oczom dziewczyny ukazał opierającego się o poręcz schodów, niknącego w przepastnym, złachmanionym płaszczu mężczyznę o zniszczonej, ospowatej twarzy skrytej pod smętnie opadłym rondem zapleśniałego kapelusza. Przesłaniając ramieniem oczy przed rażącym migotaniem zepsutej żarówki, krztusząc się bolesnym rozczarowaniem, Aneta wyszeptała łamiącym się głosem:

– Chciałabym tylko rzucić okiem na książkę, którą pan kupił dziś w antykwariacie.

– Ja tam nie kupuję książek, czasem sprzedaję, gdy jakąś znajdę – wychrypiął świszcząco, czemu towarzyszyło potężne wionięcie alkoholu, a mrugające światło ujawniło na moment drobne, poharatane życiem oblicze ściągnięte niewymownym żalem, nim mężczyzna ponowił niezgrabną wędrówkę w dół klatki schodowej.

Z ogłuszającą pustką w sercu Aneta powlekła się w górę, ku na wpół wyważonym drzwiom pustostanu na trzecim piętrze. Pokoju, jaki według wszelkich prawideł architektury i geometrii musiała obserwować z przystanku, jedynym wszakże oświetlającym go blaskiem były spazmy żarówki z klatki schodowej i uliczna latarnia. Odrapane ślady znaczyły pełne bluzgów gryzmoły, podłogę zaścielewały potłuczone butelki, a w rozbitym oknie tańczyła na wietrze postrzępiona zasłona. Chłód zdawał się tu większy niż na zewnątrz, a jeden z gwałtowniejszych podmuchów przytoczył jej pod nogi zwiniętą, brudną kartkę. Podniosła ją machinalnie i jak ciągnięta na sznurku dziecięca zabawka poczłapała ku oknu, gdzie odłamków szyby czepiały się okruchy światła latarni i w tej anemicznej poświacie rozwinęła papier. Była to kartka wyszarpana ze zwykłego zeszytu w kratkę, na której wypisującym się długopisem wykrobano tekst:

*Traktat o Czarnych Dziurach, albo Ćma Pochłaniająca Kosmiczną Pustkę
(Fragmenty)*

... czerni najpełniej uczy nas najprzerażliwsza jaskrawość, ten pozorny paradoks stanie się zrozumiałym, gdy uświadomiwszy sobie bezmiar kosmosu, postawimy w oknie zapaloną świecę, by płomieniem na zatracenie wieść nocnych wędrówców, aż znajdzie się jeden, co na swych skrzydłach poniesie ową ztratę, aby kroplami ognia zapłodnić przyczajoną na naszych ramionach, wszechwładną, wiekuiącą ciemność, póki jej samowładztwo nie zapadnie się pod masą własnego bezmiaru, pożerając wszystek czas i przestrzeń, a z popiołów niebytu zrodzi się Uzurpator i swą bezkształtną dziedzinę omiecie tchnącym nieopisanym smutkiem, omatidiowym spojrzeniem...

Rozmazany listopadowy świt rozsiewał leniwe podmuchy wiatru przeganiającego zbłąkane krople wczorajszego deszczu, martwe liście i smętnie rozmoknięte resztki halloweenowej nocy, przez które snuła się niezgrabna dziewczyna w tanim płaszczu. Idąc

apatycznie, jakby obrany kierunek był przypadkowy, a chłód poranka nie miał znaczenia, Aneta wsunęła do kieszeni rękę z nadzieją, że ostał się jeszcze jakiś czekoladowy przysmak. Po chwili jej zdobna granatowo-gwiezdnym manicurem dłoń opuściła kieszeń, trzymając opadły październikowy liść, nadal w pełni swej jesiennej chwały. Uniosła go ku światłu, tak iż pierwsze promienie brzasku obrysowały jego kontury i spłynęły przezeń, łagodnie złotym blaskiem opadając na zmęczoną, teraz skamieniałą w zachwycie twarz dziewczyny, na tę chwilę, wrzebiając w nią piękno niewysłowionej tajemnicy.



rys. Izabela Wojciechowska

FILMOWIEC I JEGO KSIĄDZ

Krystian Janik

Witold Mokrzycki opuścił mury Zakładu Karnego w Tarnowie przy ulicy Konarskiego w drugiej połowie stycznia 2020 roku. Do więzienia trafił po pierwszym roku prezydentury Lecha Kaczyńskiego, w czasach, kiedy polski futbol przeżywał kolejny renesans, tym razem za sprawą holenderskiego selekcjonera Leo Beenhakera. Nie dane było Witoldowi na własne oczy ujrzeć zwycięskie mecze reprezentacji – z Portugalią w Chorzowie i Belgią w Brukseli – w eliminacjach do Mistrzostw Europy 2008. Wtedy znów cały naród z pieśnią na ustach i kuflami jasnego pełnego wspierał kadre. Wrócił splendor eliminacji do Mistrzostw Świata rozgrywanych w Korei i Japonii w 2002 roku. Leo Beenhakker był nowym Jurkiem Engelem, a Euzebiusz Smolarek – nowym Emmanuelem Olisadebe. Niestety, euforia opadła już po

pierwszym meczu grupowym, w którym reprezentacja Niemiec, nasza największa piłkarska zmora obok Anglii, wpakowała dwukrotnie futbolówkę do bramki bronionej przez Artura Boruca. W dodatku oba gole strzelił Lukas Podolski, pochodzący ze Śląska. Takiego upokorzenia kibice zgromadzeni przed telewizorami znieść nie mogli. Wprawdzie zremisowany z Austrią mecz o wszystko dawał załączek nadziei na dobry wynik w pojedynku z Chorwacją, ale trzecia potyczka skończyła się największą kompromitacją kadry w turnieju i powrotem do domu.

Mokrzycki wylądował za kratkami za produkcję i dystrybucję filmów pornograficznych wykraczających poza główny nurt gatunku. Jego podstawowym towarem były filmy ostatniego tchnienia, zwane *snuffmovies*. W biznesie pomagał mu młodszy brat Jędrzej, który w kryzysowym momencie, zamiast ponurej celi, wybrał grób. Bracia swoją działalność rozpoczęli w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych. Zajmowali się wtedy sprowadzaniem samochodów z Niemiec. Za zaoszczędzone pieniądze postanowili wyruszyć w podróż życia, do Tajlandii. W barze ze striptizem w stolicy kraju, Bangkoku, poznali trzech Filipińczyków, którzy zafascynowani ich czarną kamerą marki Grundig, łamaną angielszczyzną opowiedzieli o niezwykle dochodowej gałęzi przemysłu filmowego i kasetach wideo wartych tysiące dolarów. Filipińczycy przysięgali na własne matki, że brutalne gwałty wieńczone morderstwami kobiet, utrwalane na taśmach magnetycznych, są w stu procentach markowane, oprawcy to najczęściej aktorzy związani z branżą pornograficzną, a ofiary – suto opłacone prostytutki. Chwalili się również, że ich nagrania posiadają w swoich zbiorach najbogatsi maklerzy giełdowi z Wall Street oraz wpływowi amerykańscy i azjatyccy politycy. Jednakże do tej pory nie udało im się podbić Starego Kontynentu. Narzekali, że to przez fascynację Europejczyków zachodnim kinem grozy i eksploatacji. Witold za bardzo nie wiedział, o czym mówią ci niscy i śniadzi wyspiarze z południowo-wschodniej Azji. Na szczęście paszcza japońskiego magnetowidu Jędrzeja pochłonęła kiedyś taśmę z filmem *Cannibal Holocaust* – włoskim gigantem kina kanibalistycznego w reżyserii Ruggera Deodato. Nad Wisłą obraz ten, dzięki tłumaczeniu z niemieckiej kasety VHS, nosił tytuł *Nadzy i rozszarpani*. W związku z tym młodszy brat miał jakiegokolwiek pojęcie o kinie przekraczającym granice dobrego smaku. Mokrzyccy przeprowadzili krótką naradę w rodzimym języku, po czym wyrazili chęć współpracy. Tydzień później z plikiem scenariuszy i tysiącem dolarów zaliczki wrócili do rodzinnego Tarnowa.

Przez pierwsze cztery lata nakręcili zaledwie siedem filmów, z czego aż pięć zostało odrzuconych przez Filipińczyków. Lepiej szło im rozprowadzanie po Europie produkcji azjatyckich. Pierwsze *snuffmovies* sprzedawali w Niemczech, Rosji, Czechach, na Słowacji i Ukrainie. Na brak pieniędzy nie mogli narzekać. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych Witold woził się srebrną hondą accord szóstką, a Jędrzej – czarnym audi a4 po podwójnym liftingu. W Tarnowie byli bogami. I chyba tylko dlatego nie wyprowadzili się z tego miasta.

Jednakże gdyby wiedzieli, że pięć lat później zaliczą wpadkę, pewnie bez wahania wcisnęliby gaz do dechy w swoich drogich samochodach. A wszystko zaczęło się od nietypowego zlecenia młodego adepta teologii. Kleryk Jeremiasz Skald, przebywający na misji na Filipinach, napotkał na swojej drodze trzech tamtejszych mistrzów broczącego krwią rzemiosła filmowego, a oni opowiedzieli mu o swoich polskich partnerach biznesowych. Młodzieniec, przejawiający pociąg do małoletnich chłopców i małą człekokształtnych, zapragnął dołączyć do swoich okazałych zbiorów film, w którym samiec szympansa po wyczerpującej kopulacji podrzyna gardło nastolatka. Filipińczycy początkowo kategorycznie odmówili udziału w takim przedsięwzięciu, zasłaniając się etyką zawodową. Jeremiasz rzekł im, że wszystko ma swoją cenę, a on jest im w stanie zapłacić nawet złotem. Nieufni tubylcy podrapali się po kosmatych głowach i na wszelki wypadek polecili klerykowi braci Mokrzyckich z Tarnowa. Oczywiście zastrzegli sobie spory procent od tego zlecenia. W końcu to oni znaleźli klienta.

Jędrzej od początku był przeciwny nakręceniu czegoś, w jego mniemaniu, tak obrzydliwego. Małpa kopulująca z młodocianym przekraczała granice jego zbydlęcenia. Natomiast Witold uznał ofertę za niesamowicie intrygującą i kreatywną. Postanowił, że zrealizuje ją za wszelką cenę. Nawet bez udziału brata. Przez trzy wieczory, popijając schłodzonego żywca, opracowywał scenariusz. Po postawieniu kropki wieńczącej dzieło zaczął rozmyślać nad obsadą. O nastolatka się nie bał. Wiedział, że znalezienie jakiegoś niewyżytego seksualnie luja, któremu stosunek z małpą zamiast dziewczyny nie robi różnicy, jest tylko kwestią czasu. Takiego bez trudu można napotkać na plantach kolejowych nieopodal dworca. Natomiast pozyskanie małpy i namówienie jej do udziału w filmie wydawało się niemożliwe.

Jednak kleryk zmienił zasady gry. Zamiast nastolatka, zażądał ośmiolatka w stroju ministranta. Dał nawet namiar na rodzinę, która udostępni dzieciaka za karton fajek i skrzynkę żołądkowej. Witold powiedział, że pierdoli takie warunki, i podzielił się swoimi przemyśleniami z bratem. Jędrzej zapalił papierosa i po pięciominutowym milczeniu, ku

zdziwieniu Witolda, oznajmił, że warto w to wejść. Podskórnie czuł, że będzie to ich największe i zarazem ostatnie dzieło. I miał rację. Przynajmniej częściowo.

Spotkanie z rodziną Nowomiejskich ustawił Jeremiasz. Informacje dotyczące daty, godziny i miejsca przesłał braciom Mokrzyckim e-mailem. I tak oto późnym popołudniem 24 września 2006 roku tarnowscy filmowcy zostali wyprowadzeni przez funkcjonariuszy policji z mieszkania mieszczącego się w kamienicy przy ulicy Lwowskiej. Wcześniej jednak państwo Nowomiejscy, którzy w realnym świecie nie byli małżeństwem, tylko parą policjantów, nagrali rozmowę z Mokrzyckimi. Na nagraniu, oprócz propozycji wypożyczenia dzieciaka do filmu ostatniego tchnienia z udziałem morderczego szympansa, znalazło się też kilka zdań dotyczących podstawowej działalności filmowców. Prokurator w trybie pilnym wystawił nakaz przeszukania mieszkania zatrzymanych. Jeszcze tego samego wieczoru policjanci zabezpieczyli w lokum w bloku przy Bitwy pod Studziankami trzydzieści sześć taśm z nagraniami z lat dziewięćdziesiątych, a także ponad dwieście płyt CD oraz dwa komputery stacjonarne zawierające liczne kopie *snuffmovies*. Witold nie przyznawał się do winy. Natomiast skruszony Jędrzej rozważał pójście na współpracę. Po czterdziestu ośmiu godzinach bracia opuścili areszt za kaucją w wysokości dwudziestu tysięcy złotych. Zatrzymali się w hotelu „Tarnovia” przy Kościuszki. Dzień później mieli spotkać się z adwokatem. Do gabinetu mecenasa Pawła Marudnego dotarł sam Witold. Jędrzej nie poszedł z bratem, ponieważ nie doczekał świtu. Podciął sobie żyły w hotelowej wannie.

Witold Mokrzycki trafił do czteroosobowej celi. Dzielił ją z handlarzem narkotyków, mordercą kochanka żony i mordercą brata. Ten ostatni cieszył się ogromnym szacunkiem wśród więźniów. Nazywał się Mirosław Kalicki i był prawdziwą legendą. W świecie przestępczym mówiono nań „Boruta”. W latach dziewięćdziesiątych wraz z młodszym bratem Markiem, zwanym Widarem, rządził krakowskim półświatkiem. Zarabiał pieniądze, o których przeciętnym obywatelom nawet się nie śniło. Do jego głównych źródeł utrzymania należały: sprzedaż narkotyków, przemyt papierosów i alkoholu, a także handel kradzionymi furami oraz napady na tiry i konwoje bankowe. W więzieniu opłakiwał brata i nawracał kryminalistów na drogę światłości. Po kilku dniach spędzonych we wspólnej celi Witold opowiedział Borucie swoją historię.

– Witoldzie, my wszyscy tutaj mamy jakieś ksywy. – Spokojnym głosem oznajmił Boruta. – Kręciłeś filmy, więc będziesz Filmowcem. Podoba ci się?

- Pewnie, że mi się podoba – odpowiedział Mokrzycki i stał się Filmowcem.
- Piętnaście lat to dużo za kręcenie filmów – zauważył krakus.
- Pod stanie za kamerą podpięli mi okradanie Skarbu Państwa, groźby karalne, doprowadzenie do samobójstwa i zmuszanie do prostytucji, także nieletnich, ale to akurat kompletna bzdura.
- Paskudne czyny popełniłeś. Bardzo paskudne.
- Ja tylko kręciłem i sprzedawałem filmy. Pornosy są przecież legalne, a napierdalanie puszczają na wszystkich kanałach. To w czym, kurwa, problem?
- A jednak jesteś tutaj.
- Za przestępstwa wysrane z palca! – wrzasnął Filmowiec. – Boruta, ja wiem, że masz na wolności rozległe kontakty. Pomożesz mi namierzyć tego księżula, co nas wychował? Przez niego Jędrzek podciął sobie żyły. On strasznie bał się więzienia.
- Co ci to da? Prędko stąd nie wyjdiesz, a ja nie mam zamiaru mieszać dawnych kolegów w cudze sprawy.

Witold nie zamierzał odpuszczać. Codziennie nagabywał Borutę. Aż w końcu osiągnął upragniony cel. Jesienią roku 2018, kiedy dobiegł kresu wyrok dawnego władcy krakowskich ulic, otrzymał odeń obietnicę odnalezienia duchownego. Witold wiedział, że Boruta go nie zawiedzie, wszakże nigdy nie rzucał słów na wiatr. Był gangsterem starej daty. Szanował zarówno swoich, jak i wrogów. Mokrzycki cierpliwie czekał. W końcu zimą 2020 roku, przed końcem kary, wyszedł z więzienia.

- Pizda, nie zima. – Mokrzycki skomentował styczniową aurę. – Za moich czasów śniegu było po kolana, a mróz jebał po jądrach. – Splunął na chodnik i spojrzał na autobus miejski, przejeżdżający ulicą. Po chwili usłyszał za plecami znajomy głos:
- A za moich czasów po wyjściu na wolność szło się na całonocną popijawę. Mokrzycki odwrócił się i stanął oko w oko z Borutą.
- Ja nigdy wcześniej nie wychodziłem z mamra.
- Zawsze jest ten pierwszy raz.
- Ano. Tylko czerwonych autobusów żal.
- Twoja nostalgia jest mi obca. Przed zapuszkowaniem nie znałem tego miasta. Chodźmy się napić.
- Boruta, czekaj, zaraz siostra po mnie przyjedzie.

– Już przyjechała.

– No!

– Nie ciesz się. Powiedziałem jej, że idziesz ze mną.

– I nie protestowała? – zdziwił się Witold.

– Na początku kręciła zadartym noskiem – odparł Boruta. – Powiedziałem jej, że jestem twoim starym znajomym i chcę ci zrobić niespodziankę. W sumie nie skłamałem.

– Dobra nasza. A księżula znalazłeś?

– Znalazłem. Mieszka pięć minut pieszej wędrówki stąd.

– O kurwa! Zaprowadzisz mnie?

– Przeczuwałem, że będziesz chciał pójść tam od razu. – Boruta wykrzywił usta w istic diabelskim uśmiechu, po czym wyciągnął spod płaszcza półlitrową butelkę żołądkowej gorzkiej. – Dlatego wziąłem coś na drogę.

– Przez ostatni rok z hakiem marzyłem w kryminale o trzech rzeczach: o dorwaniu księżula, o zmrożonej żołądkowej gorzkiej i o zobaczeniu w akcji Roberta Lewandowskiego, najlepszego polskiego napastnika.

– Twoje marzenia zaczynają się spełniać.

Boruta odkręcił zakrętkę, podał butelkę Mokrzyckiemu, a ten pociągnął z niej łąpczywie. Ognista ciesz przyjemnie polechtała jego spragnione gardło. Po chwili ruszyli w kierunku wybranym przez Borutę. Niespiesznym krokiem podążali wzdłuż ulicy Konarskiego, następnie skręcili w prawo w Narutowicza i kierując się na północ, dotarli do Starego Cmentarza położonego pomiędzy Tuchowską a potokiem Wątok.

– Na tym cmentarzu jest pochowany mój brat – wyszeptał drżącym głosem Mokrzycki.

– Dlaczego przyszliśmy na cmentarz?

– Tutaj mieszka twój księżulo – odpowiedział Boruta. – Jeremiasz Skald od czterech lat spoczywa w grobowcu rodzinnym Skaldów. Ksiądz chorował na glejaka wielopostaciowego, czyli nowotwór złośliwy mózgu. Kiedy umierał, miał zaledwie trzydzieści trzy lata. Chrystusowy wiek.

– Ech, diabli wzięli zemstę – westchnął Filmowiec. – Przynajmniej napluję na jego grób. Prowadź przyjacielu!

Grobowiec rodziny Skaldów znajdował się tuż za kaplicą książąt Sanguszków. Oprócz Jeremiasza, w mogile spoczywali jego rodzice i dziadkowie ze strony ojca. Mokrzycki wbił wzrok w portret nagrobny księdza. W oczach przestępcy zapłonęła nienawiść. Po chwili po czarno-białej twarzy Jeremiasza popłynęła żółtawa plwocina.

– Pluję na twój grób, skurwysynu! – ryknął Mokrzycki.

– Witoldzie, czy wierzysz w przeznaczenie? – zapytał Boruta.

– Nie wierzę. Gdyby przeznaczenie istniało, to zajełabym skurwysyna własnymi rękami.

–Przeznaczenie istnieje. Mam na to dowód.

– Jaki?

– Na początku 1998 roku psiarnia zatrzymała mojego brata za pobicie czterech psiaczków. Musieli mieć na niego mocne haki, bo nie wierzę, że Marek lekką ręką przyjął koronę. Ale zdrada to zdrada, nie ma przebaczyć. W latach dziewięćdziesiątych Kraków był moim miastem. Miałem swoje wtyczki wszędzie. W psiarni i prokuraturze również. Dostałem kopertę z grafiką przesłuchań mojego braciszka w Prokuraturze Okręgowej w Krakowie przy Mosiężnej. Pewnego razu zacząłem się pod budynkiem i wiedziałem, że tego dnia pożegnania się zarówno z Markiem, jak i z moim miastem. Czekałem dobrą godzinę. I niestety doczekałem się. Jak tylko zobaczyłem braciszka z obstawą czarnych, wyszedłem z samochodu i wpakowałem mu kulkę prosto w serce. Jedną. Oko miałem dobre.

– Jędrzek też zastanawiał się, czy nie lepiej będzie opowiedzieć o wszystkim glinom. Kurewsko bał się kryminału.

– Ja więzienia się nie bałem – rzekł Boruta. – Bałem się życia, w którym nie ma mojego brata, a ja jestem jego zabójcą. Ale do rzeczy. Marek miał czternastoletnią córkę, Dagmarę. Wychowywał ją najlepiej jak potrafił. Pomagała mu Paulina, która nie była matką dziewczyny, ale kochała ją jak swoją. Po śmierci Marka sąd przyznał opiekę nad Dagmarą jej biologicznej matce, podłej kurwie i narkomance, mieszkającej w melinie przy Jasnogórskiej. Na wstępie matka zabrała córcę wszystkie pieniądze i poszła w pijackie tany z konkubentem. A Dagmara zaczęła się staczać. Pisałem do niej listy, ale nigdy nie odpisywała. Nienawidziła mnie i miała do tego prawo. Zamordowałem jej ojca i pozbawiłem ją godnego życia. – Mężczyzna wyciągnął z kieszeni czarnych jeansów chusteczki higieniczne i wysiąkał nos. – Odwiedziła mnie tylko raz. Było to w trzecią rocznicę śmierci Marka. Powiedziała mi, że sięgnęła dna i nie chce już żyć. Miesiąc wcześniej, po tym, jak kolejny z kochasiów matuli zaczął się do niej dobierać, uciekła z mieszkania i pobięła prosto na dworzec. Tam wsiadła do pierwszego lepszego pociągu. Jego ostatnią stacją był Tarnów. W kiosku na dworcu kupiła paczkę papierosów, a potem usiadła na ławeczce na plantach kolejowych. Wieczorem zaczepiło ją tam dwóch facetów. Powiedzieli, że kręcą filmy, i zaproponowali jej rolę. Zgodziła się, bo nie miała nic do stracenia, a pięć stów piechotą nie chodzi. Z taką kasą mogłaby wyjechać jeszcze dalej. Marzyła o Trójmieście.

– Boruta, kurwa, co ty... – wyjąkał Mokrzycki.

– Nie przerywaj mi. Jeszcze przyjdzie czas na twoją spowiedź. Zrozumiałeś?

– Najpierw mówisz ty, a potem ja.

– W rzeczy samej – potwierdził Boruta. – Ci dwaj faceci zapewnili Dagmarę, że nie spotka jej nic złego. Musiała tylko zgodzić się na seks z potężnie zbudowanym osiłkiem w masce średniowiecznego kata. Zaś finałowa scena, w której potworny kat dusi niewiastę wszeteczną szubienicznym sznurem, miała być w całości udawana. Po podpisaniu umowy skreślonej na kolanie, a raczej klauzuli milczenia, wsiadła do czarnego audi, którym filmowcy zawieźli ją na plan zdjęciowy. Wszystko mieli już zorganizowane. Prawdopodobnie zawsze działali w ten sposób. Mieli swoje miejsca i swoich aktorów, a dziewczyn szukali pośród miejscowego marginesu. Jak tylko jakaś wyraziła zgodę, od razu zabierali ją na plan, by nie miała szans na zmianę decyzji. Dagmarę przywieźli na ruiny średniowiecznego zamku rodziny Tarnowskich na Górze Świętego Marcina. Z bagażnika wyciągnęli martwego królika. Upuszczoną krwią zwierzęcia swoje ciało natarł drażał w katowskiej masce. I wtedy w Dagmarze coś pękło. Przeprosiła filmowców i powiedziała, że jednak nie jest gotowa na udział w takim przedsięwzięciu. Przysięgała, że nikomu o niczym nie powie. Chciała odejść. Niestety, nie została wysłuchana. Kat brutalnie ją zgwałcił, a szubieniczny sznur wycisnął z niej ostatnie tchnienie. A potem to samo czarne audi przewiozło jej ciało do lasu w Skrzyszowie.

– Ale powiedziałaś, że do ciebie przyszła... – wybełkotał Filmowiec, po czym dodał podniesionym głosem: – Boruta, kurwa, tak powiedziałaś!

– Przyszła do mnie z za grobu. Zhańbiona i głodna zemsty. A ja byłem jej jedynym dłużnikiem.

– Boruta...

– Zapytam raz jeszcze: wierzysz w przeznaczenie?

– Powiedziałaś, że jeszcze przyjdzie czas na spowiedź – odrzekł Mokrzycki, nie odpowiadając na zadane mu pytanie. – Chcę się wyświadczyć.

– Znakomicie! – Boruta się uśmiechnął. – Twoim spowiednikiem będzie ksiądz Jeremiasz Skald.

– Przestań pierdolić, księżula pozał rak! Jego ciało gnije w grobie!

– Ale duch unosi się ponad grobami.

– Witoldzie, jestem przy tobie. – Mokrzycki usłyszał łagodny głos, a przed jego oczami, niczym piorun rozcinający niebo, pojawił się ksiądz Jeremiasz. Jego postać spowijała świetlista poświata. Pachniał truskawkami i świeżym mlekiem. – Chcesz mi coś powiedzieć?

– Spierdalaj! – krzyknął Witold.

Boruta stanął za plecami Mokrzyckiego, sięgnął pod poły płaszcza i wyciągnął szubieniczny sznur. Z zimną krwią zarzucił mu pętlę na szyję i przyciągnął do siebie. Po policzkach Filmowca popłynęły łzy. Tracąc oddech, usłyszał w prawym uchu szept Boruty:

– Ja odpuszczam tobie grzechy. A pokutę zadał ci twój ksiądz.

KIDS of EVIL

MIEJSCE DLA MIŁOŚNIKÓW RETRO POPKULTURY
KLASYKA NIE UMIERA NIGDY



[FACEBOOK.COM/KIDSOFEVIL](https://www.facebook.com/kidsofevil) [INSTAGRAM.COM/KIDSOFEVIL](https://www.instagram.com/kidsofevil) [YOUTUBE.COM/KIDSOFEVIL](https://www.youtube.com/kidsofevil)

[WWW.KIDSOFEVIL.COM](http://www.kidsofevil.com)

rys. Małgorzata Silkowska



JAZZ

Michał Pięta

Światło reflektorów wycina z mroku pas drogi biegnącej prosto jak w pysk strzełił. Miarowy warkot silnika usypia. Zaciśnięta na kierownicy dłoń sięga palcem ku gałce radia. Przez chwilę napór na przełącznik jest zbyt słaby, aby uruchomić urządzenie, lecz nie należy łączyć tego faktu z wahaniem. Nie. To po prostu chwilka. Ot, może na ćwierć mili.

Pstryk.

Zestaw perkusyjny chodzi z nerwowością Szatana krążącego wokół kadzi z wodą święconą. Organy Hammonda szczekają krótko, trzymając akordami frazę. Pat Martino czaruje improwizacją – wyrefinowane konstrukcje melodyczne falują niczym ocean pod rozgwieżdżonym, letnim niebem. O cholera. Nieźle. Spodziewałby się tu usłyszeć coś w stylu Hanka Williamsa albo inne gówno, a tu proszę. Jazz biały jak dupa pastora. Zaciśnięta na kierownicy dłoń porusza się, chcąc nadążyć za tańcem bębnow. Nieźle. Naprawdę nieźle.

– *W pewien letni dzień tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku, kiedy miałem piętnaście lat, wraz z przyjacielem ukradliśmy wóz spod warsztatu samochodowego w Charleston.* – Niski, zmęczony życiem głos bierze w posiadanie fale eteru, gdy ostatni

akord finałowego crescendo wybrzmiewa i niknie w ciszy. – *Przez kilka dni woziliśmy się po zachodnim Illinois, szukając przygód. Jedzenie i benzynę dostawaliśmy w zamian za fanty podbierane z domów stojących na uboczu. W jednym z nich, gdzieś nieopodal Rossville, natrafiłem na stojący w salonie adapter i skromny zestaw płyt – nic z tego, czego się wtedy słuchało. Nastawiłem igłę w odruchu ciekawości, a to, co wówczas usłyszałem, na zawsze zmieniło moje życie. Tak poznałem jazz. Od tego się zaczęło. „El Hombre”. Tu KXPA 107.5 FM. Dzwońcie w każdej sprawie. Noc jest młoda, a ja głodny waszych opowieści. Mówi Ted Burke, jesteśmy razem do rana.*

Wyświetlacz radia ukazuje rząd cyfr. Dłoń zwalnia uścisk kierownicy i sięga po leżący nieopodal telefon. Naciśnięcie zielonej słuchawki daje kontrapunkt monotonnej pracy silnika. Cyfrowy sygnał wypełnia kabinę.

– Chcę rozmawiać z tym facetem z radia.

Kobiecy głos, który odpowiada w słuchawce, nie zwodzi koniecznością oczekiwania, nie pyta o zbyt wiele, po prostu wpuszcza go na antenę.

– *Prócz rzeczy dobrze znanych przygotowałem na dzisiejszą noc także kilka nowości, lecz zanim zdradzę coś na ich temat, posłuchajmy, co ma do powiedzenia nasz pierwszy rozmówca. Witaj, kowboju. Co cię do nas sprowadza?*

– Naprawdę kradłeś samochody?

Pytanie jak strzał między oczy. Cisza jest dla radia zabójcza, ale facet drążący niskim głosem pustkę nocy z pewnością nie siedzi przed mikrofonem pierwszy raz. O zaskoczeniu nie może być mowy.

– *Zgadza się, kowboju. Tak się składa, że mam na sumieniu kilka nieczystych zagrań. Na szczęście są to sprawy, które dawno zostawiłem za sobą i teraz jestem tu, aby pomagać innym. Możesz mi opowiedzieć o wszystkim.*

– Grasz zbyt dobrą muzykę jak na teksańskiego kaznodzieję. Pytam, bo sam niedawno ukradłem wóz. Nie, nie dla pieniędzy. Był mi potrzebny. Muszę dostać się na wybrzeże.

– *Kalifornia, zgadłem? Któż z nas do niej nie zmierza. Któż z nas nie błądzi. Nie jestem kaznodzieją. Traktuj mnie jak starego kumpla, który rzadko kiedy miał w życiu z górki.*

– Wiesz, to mi pasuje. Chcesz usłyszeć moją opowieść?

– Zgadza się. Po to tu jestem.

– Też nie miałem w życiu łatwo. Matka nas zostawiła, ojciec pił i miał ciężką rękę. Od szczeniaka musiałem dorabiać, ledwie wiązaaliśmy koniec z końcem.

– *Jednym słowem – witaj w klubie.*

– Moje dzieciństwo było parszywe, dopóki nie pojawiła się w nim ona. Jill, dziewczyna z sąsiedztwa, choć może to źle powiedziane, bo mieszkaliśmy na zadupiu, gdzie dom od domu dzielą przynajmniej trzy mile. Przyszła do naszej szkoły, gdy mieliśmy po trzynaście lat. Świetny czas. Jesteś jak motyl, który dopiero co rozpostarł skrzydła. Zakumplowaliśmy się. Zawsze wracaliśmy ze szkoły razem, bez przerwy gadając. Czasem zahaczaliśmy o pobliskie wzgórza, aby trochę dłużej pobyć ze sobą. Ona opowiadała przedziwne historie, ja umiałem słuchać. Miała wyobraźnię jak milion dolarów. Odlatywaliśmy w świat fantazji, jakby dało się prowadzić drugie życie, obok tego prawdziwego. Znaleźliśmy nasze magiczne miejsce, na wzgórzach, nad potokiem, gdzie rosły wiekowe drzewa. Obiecaliśmy sobie, że istnieć będzie ono tylko dla nas, dla spędzonych razem chwil, gdy czuliśmy się szczęśliwi. Taka latarnia morska dla duszy, coś, co w przyszłości pozwoli ci odnaleźć drogę, jeśli zbłądzisz w mrokach nocy. Zakochałem się, jasne, i to tam, kilka lat później, oddała mi się, spełniając marzenia zakompleksionego małolata. Było to latem, gdy kończyliśmy szkołę. Ja miałem przed sobą przyszłość w robocie na stacji benzynowej, dzięki czemu mogłem spłacić długi ojca, ona stypendium dla młodych twórców na Akademii Sztuki. Sprawa bez szans. Wyjechała jesienią, po krótkim pożegnaniu. Nie chciałem niczego więcej. Nie była dla mnie. Zbyt wiele nas dzieliło.

– *Tak bywa, kowboju. To dotyczy nas wszystkich.*

– Jak tylko stary kopnął w kalendarz, wstąpiłem do wojska. Nie miałem przyszłości, a tam mogłem zdobyć fach i coś zarobić. Ale to było gówno. Konkretnie gówno. Armia defloruje ci mózg, a walka z wrogiem, który nie ma w powietrzu choć jednej maszyny, demoralizuje. Włóczysz się z karabinem jak zombie, sam nie wiesz gdzie i po co. A oni, ci na górze, też tego nie wiedzą. Tylko udają, że to, co robisz, ma jakieś znaczenie.

– *Amen, kowboju. Sam bym tego lepiej nie ujął.*

– Gdy wróciłem do kraju, zdarzył się cud. Po raz pierwszy poczułem, że nad moim życiem pochylił się Bóg. Siedziałem w przydrożnej knajpie, gdzieś w Georgii, zastanawiając się, jak do reszty nie spierdolić sobie życia. W uczeptionym nad barem telewizorze leciał zwyczajowy bełkot, nawet nie spoglądałem. Aż do chwili, gdy na ekranie pojawiła się twarz Jill. Mojej Jill. Starszej o te dziesięć lat, które minęły od naszego rozstania, lecz jednak. To były lokalne wiadomości i news o zaginięciu lubianej nauczycielki. Ponoć nie układało jej się z mężem, ponoć tego nie wytrzymała. Ostatni raz widziano ją przed kilkoma dniami, wyjechała do pracy jak co dzień. Od tamtej pory nie było z nią kontaktu. Na żonę czekał skruszony mąż i stęskniona córka. Moja córka. Stało się to jasne, gdy tylko na ekranie pokazano zdjęcie dziesięcioletniej dziewczynki. W jednej chwili zrozumiałem, co należy

robić. Z pobliskiego parkingu podprowadziłem wóz i teraz jadę. Na wybrzeże, w rodzinne strony. Ona tam na mnie czeka. W naszym miejscu, gdzie byliśmy szczęśliwi.

– *Mocna rzecz, kowboju. Nie chciałbym studzić twojego zapału, ale czy nie nakręciłeś się o drobinę zbyt mocno? Pamiętaj, że...*

– Kupiłeś to? Naprawdę?! Ha, ha, ha! Przecież to brednie z melodramatycznej szmiry! Prawdziwe życie tak nie wygląda, przecież wiesz!

– *No proszę, wesolek z ciebie. Musze przyznać, że odetchnąłem z ulgą, choć myślę, że kilka ze słuchających nas osób zdążyło już uронić leżkę.*

– Co zrobisz, świat pełen jest naiwniaków. Ale w tej historyjce jest trochę prawdy. Chcesz posłuchać?

– *Myślę, że wszyscy chcemy.*

– Była Jill i ja, zakompleksiony smark i była przyjaźń, a potem rozstanie. Bolesne, jak to w życiu. I faktycznie, ten jeden raz Bóg się nade mną pochylił. Dla żartu, oczywiście. Spotkałem Jill na lotnisku w Atlancie, zaraz po powrocie do kraju. Była żebrzącą narkomanką, którą mogłeś zerznąć za kilka dolców. Stoczyła się po śmierci córki, którą wychowywała samotnie i której nie dopilnowała, gdy ulicą przejeżdżał pijany idiota. Taka wiecznie bujająca w obłokach matka, dobre, nie? Wkurwiłem się wtedy, jasne, ale teraz jestem Bogu wdzięczny, że tak to rozegrał. Nie lubię sentymentów i złudzeń, o wiele lepszy jest jasny ogląd zdarzeń. I wiesz co? Jill jest tu teraz ze mną. W bagażniku. Wracam do naszego miejsca, żeby ją zabić i zamknąć tę historię. Żeby pogrzebać marzenia. Należy mi się to, prawda?

Parsknięcie.

– *Tego nie wiem, ale myślę, że masz bujną wyobraźnię.*

– Więc zmyślam, tak?

– *Już raz to zrobiłeś. I zdaje mi się, że chcesz zabawić się cudzym kosztem.*

– Nie żartuj, to nie w moim stylu.

– *W takim razie po co mi to opowiadasz?*

– Heh, człowieku, grasz zbyt dobrą muzykę, żeby słuchało tego kilku zapijaczonych onanistów. Pomyśl o słuchaczach. Streamujesz chyba tę gadkę? Licznik bije, co? Znasz zasady show-biznesu – seks i przemoc.

– *Twoim przystankiem musi być zatem Hollywood.*

– Być może będzie. Ale najpierw mała zabawa. Przepadam za Martino, daj więc teraz coś z tych nowości. Jeśli mi się spodoba, puszcze Jill wolno, jeśli nie, sam rozumiesz. Taka gra. Myślę, że słuchaczom się spodoba.

Wreszcie. W niskim głosie wreszcie drga nutka zaskoczenia.

– *Chcesz igrac z emocjami starego człowieka, kowboju?*

– Igram z życiem i śmiercią. To jak? Wchodzisz w to? Zresztą, nie odpowiadaj. Już wszedłeś.

Naciśnięcie czerwonej słuchawki kończy rozmowę. Telefon łąduje na fotelu pasażera. Dłoń zaciska się na kierownicy, lecz wpierw podkręca regulator głośności.

Cisza jest dla radia zabójcza, lecz bywają chwile, gdy nic prócz niej nie wybrzmiewa jak trzeba. Mężczyzna o niskim głosie o tym wie, dlatego przez pewien czas milczy, pozwalając słuchaczom trawić w myślach słowa, które właśnie usłyszeli. Potem włącza muzykę.

Saksofon rozpoczyna temat łamiący się niczym wafel w palcach rozkapryzonego grubaska. Rozmyta fraza daje punkt wyjścia dla improwizacji fortepianu. Dalej reprzyza i saksofon już nie odpuszcza, wpierw, podbity sekcją rytmiczną, wbija kilka nut z impetem rozpędzonego hard rockowego bandu, potem odpływa ku krainom swobodnej improwizacji. David Binney. Wstyd się przyznać, ale to dzięki niemu nawrócił się na Coltrane'a. Wcześniej wolał jazz gitarowy lub klasyczne trio. Dłoń zsuwa się z kierownicy, sięgając ku przyciskowi zwalniającemu blokadę klapy bagażnika. Nieźle. Naprawdę nieźle.

Błada luna przedświtą przeciera czerń nocnego nieba, gdy okaleczona, zziębnięta i ledwie żywa z przerażenia Jill dostrzega światła zbliżającego się samochodu. Nadjeżdża z zachodu. Jakby wracał z Hollywood.



PRZERAŻAJĄCA SŁOWIAŃSKA LEGENDA

Krystian Michalski

Ludomir podążał leśną ścieżką, pogrążoną w mroku rozmaitych karłowatych drzew. Nad nimi wisiał księżyc w całej swej okazałości. Mężczyzna zatrzymał się na skraju góry, u której podnóża leżała jego wioska. Przez dłuższą chwilę cieszył się widokiem. Wioska znajdowała się tuż przy wielkich bagnach, które emanowały swoim pięknem każdej nocy.

Ku jego zdziwieniu, w jednym z domów nie paliły się świece. Dostrzegł z oddali ciemność. Od pamiętnego pierwszego ataku Alpa tutejszy ksiądz, najważniejszy człowiek

w miasteczku, codziennie poświęcał świece. Miały one palić się przez całą noc, by swym ogniem odpędzić złe demony, które czaiły się w ciemnościach.

Ludomir popędził co tchu do wioski. Zszedł ze ścieżki i zsunął się po stromym zboczu, tuż obok rzeczki, płynącej z góry do bagien. Poruszał się szybko, lecz na tyle uważnie, żeby się nie pośliznąć. Wyłonił się zza drzew otaczających wioskę, kiedy na jego drodze pojawił się Gniewomir, tutejszy guślarz. Przez większość mieszkańców wioski nie był lubiany – o to postarał się charyzmatyczny ksiądz.

– Wolscy! – krzyknął Ludomir. – Nie palą się u nich świece! Trzeba ich ratować!

– Niedobrze, oj niedobrze. – Guślarz uniósł drewnianą laskę i spuścił głowę w dół. – Wiedziałem, że tak będzie. Na nic tutaj chrześcijańskie modły i dziwy. Ten demon nie jest z ich wiary. Tutaj potrzeba innych metod.

– Nie bredź bzdur, starcze, budź innych! – polecił Ludomir. – Biegnę do Wolskich. Może nie jest za późno.

W domu Wolskich czuć było śmierć. A właściwie: odór Alp, które większość nazywała „śmiercią”. Nieśli ją za każdym razem, kiedy pojawiali się w wiosce.

Na podłodze, tuż przy oknie, znajdowały się zwłoki kobiety i kilkuletniego dziecka. Jedyne jeszcze żywy człowiek, mężczyzna, leżał na łóżku. Nie mógł poruszyć nogami ani rękami. Zachował kontrolę tylko na tyle, by szarpnąć głową z boku na bok. Zatrzymał wzrok na swej rodzinie, z której przed chwilą uleciało życie.

Alp – ohydny demon wielkości dziesięciolatka, z długimi rękami zakończonymi szponami oraz skórą czarną niczym smoła, pozbawioną owłosienia – klęczał na piersi mężczyzny. Otworzył usta, niewyobrażalnie szeroko jak na rozmiar swojej twarzy, i zbliżył do ust mężczyzny. Bezbronny mieszkaniec wioski czuł, jak powietrze jest wypychane z jego płuc, a nacisk na pierś się nasila. Słyszał dźwięk pękających żeber. Jedno z nich wbiło mu się prosto w serce.

Alp zeskoczył z ofiary. Nastawił uszu. Słyszał z daleka odgłos biegnącego człowieka. Choć mógłby się z nim zmierzyć, wolał oddalić się, pozostawiając w mieszkańcach strach przed nieznanym.

Ludomir wbiegł do domu Wolskich. Upadł na kolana, zobaczywszy całą rodzinę uśmierconą. Poczul złość i ogromne pragnienie zemsty.

Chwilę później do pomieszczenia, w którym się znajdował, wbiegli pozostali odważni z wioski. Nie każdy chciał wejść do domu, w którym pojawiał się Alp. Powiadano, że kto jako pierwszy wejdzie do domu, w którym Alp zebrał żniwo, ten stanie się kolejną ofiarą. Nikt nie chciał sprawdzić słuszności tego powiedzenia.

Jako ostatni wszedł guślarz. Jego obecność nie obyła się bez szumu.

– To jego wina! – krzyknął ksiądz, wskazując palcem na starca. – Przez jego zabobony Bóg zsyła na nas przekleństwo w postaci demów z czeluści piekieł.

– Zabić go! – krzyknęło kilku chłopów.

Wszyscy stanęli po stronie księdza. Wystarczyłoby jedno jego słowo, a guślarz straciłby życie.

– To nie jest demon. Alp to wampir żerujący na naszym ostatnim oddechu – mówił guślarz, cofając się o krok.

– Kolejne brednie poganina. Powinniśmy cię zabić! – grzmiał ksiądz. – Jednak zabójstwo takiego człeka jak ty to czyn haniebny. Nie zabijemy cię, ale jeszcze dzisiejszej nocy musisz opuścić wioskę. Być może wtedy Bóg odpuści nam nasze grzechy i wygoni demona.

– Alp, a właściwie: Alpy, nie odejdą stąd, dopóki mają na kim żerować. Powinniście udać się na bagna, gdzie się ukrywają. Poznać ich zwyczaje, zrozumieć czym tak naprawdę są. Mogę wam pomóc żyć z nimi wspólnie na naszych terenach. A wiercie mi, tak można.

– Nie będziesz nam mówił jak mamy żyć, starcze – powiedział jeden z mężczyzn, rzucając w guślarza glinianym naczyniem, które wziął ze stołu.

– Żyć z demonami? – zaśmiał się ksiądz. – Takich bredni nie mówili nawet dawni heretycy paleni na stosach. Już dość twoich pogańskich porad. Wynoś się czym prędzej. Nie wiem, na jak długo powstrzymam chłopów.

Po chwili w stronę guślarza zaczęły lecieć inne przedmioty. Jeden z nich trafił go w czoło i rozciął mu głowę.

– Precz, poganinie!

Guślarz uspokoił się w duchu. Za wszelką cenę pragnął uratować mieszkańców wioski, lecz po dzisiejszym incydencie postanowił pozostawić ich na łasce ich samych. Odczekał chwilę, by tłum mógł nacieszyć się wyrokiem, po czym odszedł. Znikł w ciemności, która pochłonęła las.

Ludomir jako jedyny czuł, że wygnanie starca nie jest niczym dobrym. Nie znał się na demonach, ale wiedział, że niemożliwe, by guślarz był odpowiedzialny za pojawienie się ich w wiosce. Nieraz widział, jak ten ratuje życie mieszkańcom, których wszyscy uznali już za zmarłych. Potrafił uzdrowić nawet z najgorszej choroby – to było powodem, dla którego ksiądz zaczął prawić przeciw Gniewomirowi.

Ludomir podążył śladem guślarza, by poznać prawdę o demonach nawiedzających wioskę. Na początku wierzył w słowa księdza, lecz jego czyny i modły nie sprawiły, że demony odeszły. Wręcz przeciwnie – atakowały coraz częściej.

– Stój, Gniewomirze – zawołał mężczyzna, wyłaniając się zza drzewa. – Pozwól, że zajmę ci chwilę.

– Nie grzeszysz, gdy rozmawiasz z wygnańcem? – zapytał guślarz, opierając się o swą laskę. Był już w podeszłym wieku. Trucht przez gęsty las był dla niego porządnym wysiłkiem.

– Proszę, nie zaczynajmy tematu wiary – złagodził ton Ludomir. – Wiem, jaki masz stosunek do chrześcijaństwa.

– Nie mówię, że wiara jest zła, lecz w tym przypadku to nie ona jest odpowiedzialna za pojawienie się wampirów i również nie ona je stąd zabierze – zaczął. – Widzisz, ja wierzę w naturę i we wszystko, co stworzyła, a uwierz mi, są rzeczy i istoty tak dziwne, że po wielu latach nauk nie potrafię tego wszystkiego pojąć.

– Co wiesz o tych Alpach? – Ludomir ponaglił guślarza.

W tym samym czasie od strony góry szła w ich stronę niepozorna istota przypominająca małego chłopczyka, lecz jej wygląd znacząco odbiegał od normy. Nieproporcjonalne długie ręce i zgarbiona sylwetka – to tylko udało się Ludomirowi zapamiętać. Gdy tylko zorientowała się, że jest obserwowana, wydała z siebie przerażający wrzask i zniknęła.

– Co to było? – zapytał przerażony Ludomir. Mężczyzna, choć należał do odważnych, zaczął się trząść, a po jego czole spływały krople potu.

– Chodź za mną, a opowiem ci. Tutaj nie jesteśmy bezpieczni.

Drewniany dom guślarza znajdował się po środku lasu, tuż przy bagnach. Prowadziła tutaj tylko jedna ścieżka, którą nikt, oprócz guślarza, nie chodził.

W środku znajdowały się zaledwie dwa pomieszczenia. Jedno, do którego wchodziło się prosto z frontowych drzwi, było sypialnią. Kolejne, którego wejście zakryto kocem, było miejscem, w którym guślarz prowadził swoje eksperymenty. Wraz z Ludomirem, Gniewomir zasiadł w pierwszym pomieszczeniu.

– A więc mów, Gniewomirze. Proszę cię, wyjaw coś, co pozwoli mi pokonać demony... czy też wampiry – błagał Ludomir ze łzami w oczach. Bał się o rodzinę, która była w wielkim niebezpieczeństwie.

– Pierwszy raz dane było mi spotkać Alpa kilkanaście lat temu, w wiosce, która przepadła za ich sprawką. Alp to wampir wyższy, żywiący się naszym oddechem. Jeśli nie znajdzie ofiary, umrze. Widziałem, jak zabijają. Najpierw zsyłają na śpiących koszmara, by

ich otępić, a potem wskakują na ich pierś i duszą. Na końcu zabierają ostatnie oddechy, najbardziej życiodajne. Pytasz, czy można je zabić? Nie sądzę, by był na to sposób. Umierają dopiero, jeśli nie znajdą żywiciela. Być może nadzianie na widły by je powstrzymało, ale nie znam osoby, która by spróbowała z nimi walczyć. Te wampiry są szybkie, ciche i potrafią matać w umysłach.

– Nie ma dla nas ratunku?

– Jest. Jeden. Musicie zacząć żyć z nimi w zgodzie. Natura stworzyła zarówno nas, jak i inne stworzenia, byśmy wspólnie egzystowali na ziemi.

– Z demonami? Czyś ty oszalał do końca? – westchnął Ludomir. – Powinniśmy jak najszybciej ich się pozbyć!

– Gdyby chciały nas pokonać, już dawno ziemia wchłonęłaby naszą krew i nakarmiła nimi karłowate drzewa. Tak, kiedyś były to potężne dęby, tak wysokie, że nie sposób było sięgnąć ich czubków wzrokiem, nie unosząc wysoko głowy. Lecz wraz ze śmiercią ludzi i zwierząt, drzewa zaczęły maleć. Krew nie służy im, lecz jest jej tyle tutaj, że nie sposób jej nie wchłaniać.

– Miałeś mi pomóc, ale widzę, że tylko mydlisz mi oczy głupimi historyjkami – oburzył się Ludomir, wstając z krzesła. – Nie będę dłużej zawracać ci głowy. Siedź tutaj, wśród swojej natury.

Ludomir zaczął iść w stronę drzwi, a Gniewomir wyglądał na kogoś, kto bardzo mocno się nad czymś trzyma. Rozmyślał nad czymś ważnym, lecz bardzo okropnym.

– Stój! – krzyknął. Wstał z trudem, oparł się o drewnianą laskę i kilkakrotnie pokręcił głową.

– Rozmawiałem z nimi – zdradził.

Usłyszawszy to, Ludomir natychmiast się odwrócił i pośpiesznym krokiem podszedł do guślarza.

– Że co? Jak to możliwe? – Zdezorientowany Ludomir nie zauważył, jak guślarz wyciąga zza wielkiego glinianego dzbana tajemniczą i dziwną księgę.

– Dzięki niej. – Podał przedmiot mężczyźnie. – Stąd nauczyłem się mowy demonów, wampirów i innych stworzeń zamieszkujących lasy, bagna i ciemność.

Ludomir przekartkował księgę, lecz nic z niej nie potrafił wyczytać. Była napisana w nieznanym mu języku.

– To pradawny język. Zapomniany, lecz jedyny, którym porozumiewają się potwory – wyjaśnił.

– Czemu tutaj są? – zapytał Ludomir, zamykając księgę.

– Zawsze osiedlają się gdzieś w pobliżu wioski, z której mogą czerpać życiodajne oddechy. Mogą zabijać, lecz mogą również żyć tuż obok nas, jednak to wiązałoby się z okrucieństwem z naszej strony.

– Co masz na myśli?

– Co rok składalibyśmy im kogoś młodego w ofierze. Jedno życie za życie wielu.

– Nigdy! – wrzasnął Ludomir, rzucając księgę w kąt. – Nie poświęcimy czyjś życia!

– Wiec będą umierać kolejni, aż nasza wioska zniknie.

– To już nie jest twoja wioska – powiedział Ludomir i wyszedł.

Guślarz spoczął na krześle. Wypił zawartość jednego ze słoików znajdujących się na stole.

– A więc wybraliście śmierć – westchnął. – Kolejny raz muszę przyglądać się temu zjawisku.

Nazajutrz we wiosce zapanował istny chaos. Ludomir próbował nakłonić mieszkańców do walki z demonami, lecz większość z nich nie chciała iść na bagna. Bała się tego, co może się tam czaić.

– Więć siedźcie w domu i czekajcie, aż Alp nakarmi się oddechem waszych bliskich! – grzmiał Ludomir. – Myślicie, że one odejdą? Dadzą nam spokój? Nigdy!

– Jak mamy z nimi walczyć? – zapytał jeden z zebranych.

– Wszystkim, co mamy pod ręką. Widły, kosy, kije, obojętnie czym, byle można było tym zranić demona!

– Uciszyć się, Ludomirze! – rozkazał ksiądz, który dołączył do zebranych. – Wracam z modłów, w których miałem przyjemność rozmawiać z naszym Panem. Powiedział, że nas ochroni. Wystarczy, że zabijemy kilka owiec, a ich krwią wysmarujemy wokół wioski koło. Demony nie przejdą przez boski krąg.

Nastała wrzawa. Większości, a nawet wszystkim oprócz Ludomira, podobał się ten pomysł. Walka z demonami była czymś ponad siły mieszkańców. Przez miesiące terroryzowani przez demony, nie potrafili się z nimi zmierzyć. Groza, jaką wywoływały w nich Alpy, była zbyt ogromna.

– Brednie! Już raz miał nam pomóc! – Ludomir nie krył już irytacji. – Świece miały nas wspomóc, a nic nie zrobiły. Skąd pewność, że tym razem Wszchemocny pomoże?

Mężczyźni popatrzyli na księdza, oczekując od niego jakiś słów, którymi przeciwstawi się Ludomirowi. Aż nadto wierzyli w pomoc Pana.

Chłopi zaczęli cicho rozmawiać. Ksiądz złościł się w duszy, co było widać po jego czerwonej twarzy. W końcu się odezwał:

– Przez takich jak ty Pan nie chce pomóc! – Splunął. – Wasza wiara jest za słaba. – Odwrócił się do chłopów. – Módlcie się intensywniej. Wierście w pomoc Pana, a ona nadejdzie. Jeśli choć jeden z was zwątpi, to na nic nasze starania. Wierzyć musi każdy. – Powrócił wzrokiem na Ludomira. – Każdy, bez wyjątku!

Ludomir nie odpowiedział. Mruknął tylko coś pod nosem tak, że nie dało się zmiarkować, o co dokładnie chodziło. Po chwili opuścił plac i wszedł do lasu. Któryś z chłopów próbował go powstrzymać, lecz na marne. Ludomir coraz pewniejszym krokiem szedł w stronę bagien. Zanim jednak tam doszedł, wstąpił do jednej z szop, by zabrać oliwę i kilka szmat.

Z każdym krokiem zbliżającym do bagien jego ciało coraz mocniej odczuwało strach. Ręce zaczęły się trząść, a pot spływał po całym ciele mężczyzny, choć noc była zimnawa.

Cuchnący odór bagien nie pomagał. Co jakiś czas Ludomir musiał się zatrzymać i zakryć nos jedną ze szmat, które zabrał. Na bagnach rozchodziły się zapachy drzewa zgniłego w wodach oraz padliny, która znajdowała się wszędzie. Gdziekolwiek mężczyzna spojrzał, dostrzegał resztki ciał zwierzyny.

– Przekłęte miejsce! – pomyślał. – Muszę je spalić, a wraz z nim te cholerne demony! Nagle usłyszał za sobą dźwięk łamanych, suchych gałęzi. Coś przebiegło tuż za nim. Gdy się odwrócił, nic nie zauważył, ale czuł obecność Alpa.

Zerknął na koronę jednego z drzew. Omal nie upuścił ze strachu garnka, w którym znajdowała się oliwa. Na jednej z gałęzi siedział Alp. Ohydny, człekokształtny wampir. Jego oczy lśniły złotym blaskiem. Wyciągnął w kierunku Ludomira rękę i wydał z siebie krzyk, jakby ludzkie słowo. Krzyk ten był tak przeszywający, ponury i pełen mroku, że nawet mieszkańcy wioski go usłyszeli i poczuli przerażenie.

Nie tracąc czasu, Ludomir wylał oliwę na kilka drzew, po czym wyciągnął krzesiwo. Co chwilę przy tym się odwracał, by mieć pewność, że żaden demon się do niego nie zbliża.

– Już po was. Spali was ogień ludzki, a pochłonie piekielny – powiedział, uśmiechnięty, lecz nadal pełen obaw.

Wystarczyła jedna iskra, by drzewa zajęły się ogniem. Suche gałęzie podawały sobie nawzajem ogień do czasu, aż całe bagna zaczęły płonąć.

Ludomir zaczął pospiesznie wracać do wioski. Był z siebie dumny.

– Coś ty uczynił?! – zapytał guślarz, taranując mu drogę.

– Raz na zawsze pozbyłem się demonów. – Ludomir wypiął pierś do przodu. Stał teraz przed guślarzem niczym bohater, lecz w oczach starca był kimś innym.

– Przepadło, wszystko przepadło! – rzekł guślarz. Po jego policzkach zaczęły spływać łzy.

Nagle do ich uszu dotarły przerażające krzyki dochodzące z wioski. Towarzyszyły im płacz, błagalne prośby i odgłosy walki.

– Co się dzieje? – zapytał Ludomir, znacznie innym tonem. Na jego twarzy widać było lęk i smutek.

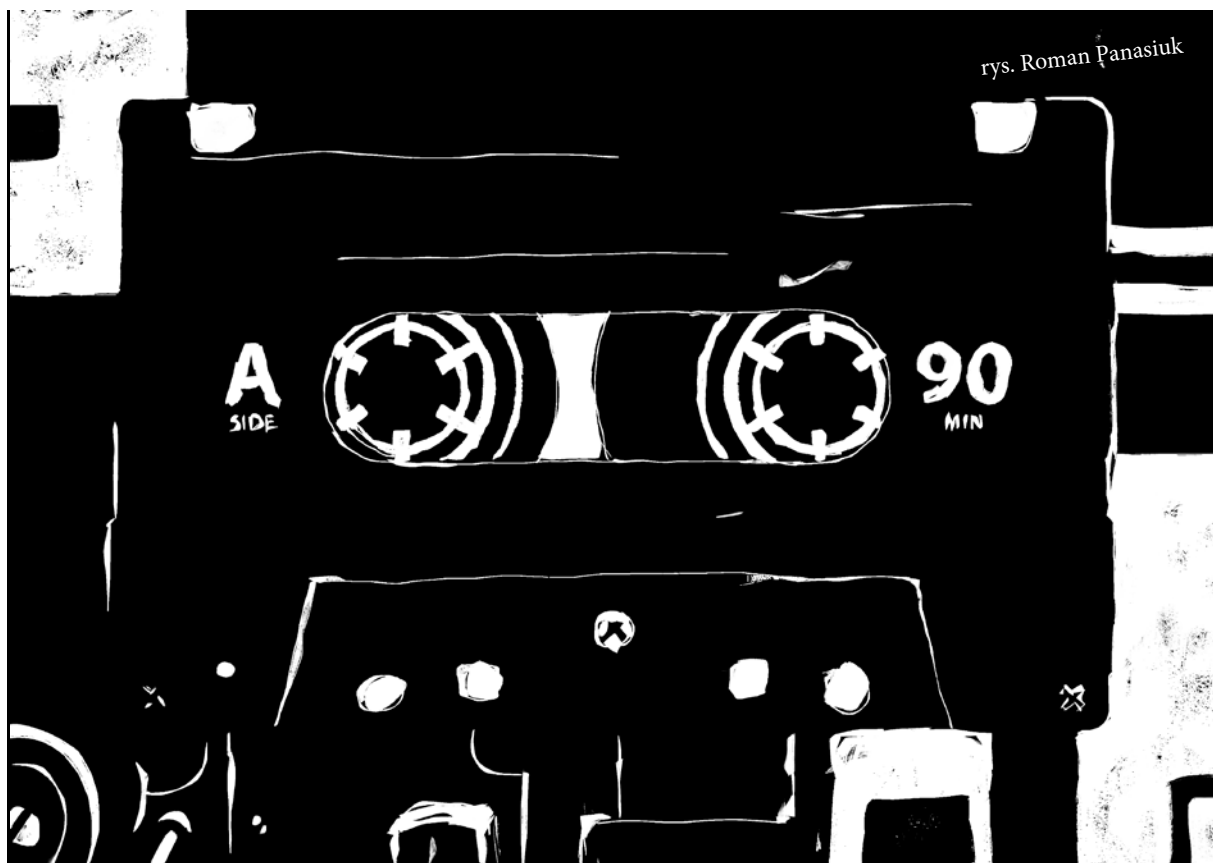
– Zemsta. Alpy odbierają to, co muszą. W naturze musi być równowaga. Zabrałeś im dom, więc oni zabiorą życie.

Ludomir ruszył biegiem do wioski. Nim do niej dotarł, wszyscy już nie żyli. Większość mieszkańców leżała na ziemi, uduszona przez Alpy. Ci, którzy odważyli się walczyć, zostali rozczłonkowani. Ich wnętrzności były rozrzucone po całej wiosce.

W oddali zauważył cienie – wiele cieni z żółtymi ślepiami w niego wpatrzonymi. Wiedział, że nie spróbują go zabić. Wystarczająco ukarały go za jego czyn. Teraz Ludomir musiał zmagać się sam z własnym cierpieniem.

Nim nastał świt, Ludomir zawisł na gałęzi. Tuż obok drzewa, na którym wisiał, leżały ciała jego dzieci i żony.

Alpy odeszły, by znaleźć nowe miejsce, dom, w którym będą mogły żyć bezpiecznie. O ile, w ich przypadku, w ogóle tak się da.



Wicher pośród drzew

Szymon Płuska

Śledczy założył wprawnie szpulę magnetofonu. Maszyna szczęknęła sucho i taśma powoli poszła w ruch. Na stole, obok notesu i popielniczki, leżała sterta nagrań – każde opisane i ponumerowane.

W pokoju gęsto było od papierosowego dymu, a w powietrzu unosił się kurz. Przez brudne szyby wpadało do środka rdzawe światło zachodzącego słońca. Pomieszczenie było duszne i zapuszczone, jakby nikt w nim nie przebywał od kilku tygodni.

– Kiedy po raz ostatni widziała się pani z synem? – Mężczyzna przerwał ciszę. Siedząca naprzeciw niego kobieta drgnęła nagle, jakby wyrwano ją z głębokiej zadumy.

– Dobrze pół roku temu. – Zaciągnęła się głęboko gasnącym już papierosem. – Wcześniej, rozumie pan, nie mieliśmy zbyt dobrego kontaktu.

– Zawsze tak było?

– O co panu chodzi? – spytała kobieta głosem pełnym urazy.

W czarnych szklach jej okularów odbijała się biel koszuli śledczego. Choć spędzili na przesłuchaniach wiele godzin, mężczyzna wiecznie miał ten sam wyraz twarzy i tę samą rutynę. Ustawiał sprzęt nagraniowy, poprawiał kołnierz i otwierał notes, choć ani razu nie zapisał w nim ani słowa. Później zadawał pytania, głosem doskonale wyuczonego funkcjonariusza, w którym pod fasadą fachowego zaciekawienia kryło się głębokie znudzenie.

– Czy zawsze miała pani złe relacje z synem? – Śledczy podjął po chwili ciszy, jakby nic się nie stało.

– Och, nie. On się zmienił, rozumie pan.

– Nie, nie rozumiem. Proszę mówić jaśniej.

– Dobrze, dobrze.– Kobieta dała za wygraną. – Po prostu nie umiem tego dokładnie ubrać w słowa. To było jakiś rok temu. On... zmienił nagle swoje zainteresowania. Zaczął czytać... pewne książki, często wyjeżdżać. Nigdy nie mówił, dokąd jedzie ani ile go nie będzie. Raz wracał następnego dnia, innym razem nawet po tygodniu czy dwóch. Nie było z nim wtedy żadnego kontaktu.

– Wiedziała pani, że syn rzucił studia? – Mężczyzna spytał nagle, jakby poprzedni wątek przestał być dla niego istotny. Po chwili rozległ się trzask długopisu i w notesie pojawiły się pierwsze słowa. Przez półmrok panujący w pokoju kobieta nie mogła ich jednak dojrzeć.

– Wtedy nie, to wyszło później. Po czasie – odpowiedziała w końcu.

– No dobrze. Jak rozumiem, syn wtedy nie pracował, a mówiła pani wcześniej, że nie wspierała go finansowo. Z czego w takim razie się utrzymywał?

– Nie wiem. Naprawdę, trudno mi powiedzieć... Proszę zrozumieć, to już nie był ten sam człowiek. To wciąż mój syn, ale... z każdym dniem czułam, że oddala się ode mnie i od innych.

– Aż któregoś dnia zniknął?

– Tak, można chyba tak powiedzieć.

Papieros zgasł, a niedopałek wylądował na dnie szklanej popielniczki. Śledczy zatrzymał magnetofon i ściągnął z niego szpulę, a w notesie pojawiło się jeszcze kilka nowych linijek. Daleko za koronkowymi firankami, za brudną szybą i za majaczącym na horyzoncie lasem zaszło słońce.

Mikołaj Faber wpatrywał się w niebo wyglądające zza czubków drzew. Próbował odgadnąć, kiedy chmury zasnują głęboki błękit. Zastanawiał się też, co przyniesie wiatr dmący z zachodu. Spokojny szum drzew nie zapowiadał burzy, ale nie wykluczał deszczu.

Młodzieniec przerwał medytację i się rozprostował. Naraz uderzyły go sygnały ze wszystkich zmysłów i nie mógł powstrzymać zawrotów głowy. Skrzyżowane wcześniej nogi przebiegł skurcz, jakby dopiero wróciło w nich krążenie. Płuca wypełniły się niemal zapomnianym uczuciem wdychanego powietrza. Serce zabiło mocniej i przez krótką chwilę w myślicielu zaczęły wzbierać emocje. Widocznie nie był dość silny.

Miesiącami starał się wyzbyć ogarniającej go słabości, ale ta nie dawała się wykorzenić. Zupełnie jakby była nieodłączną częścią małego człowieka, który jako Mikołaj Faber żył niegdyś między ludźmi. Ta myśl prześladowała mężczyznę, leżącego teraz na wznak na kamiennej płycie pośrodku lasu. Wiedział bowiem, że musiał stać się czymś więcej, by wykonać przeznaczone mu zadanie.

– Pan Faber? – rozległ się nagle potężny głos kogoś władczego. Mikołaj rozejrzał się i spostrzegł, że jest otoczony. Krążyli wkoło niego ludzie, wysocy, w identycznych ciemnych płaszczach. Nad głowami unosili latarki. Znał podobnych. Węszyli tam, gdzie nie powinni, i rzucali światło na to, co miało pozostać w cieniu.

– Czy pan Mikołaj Faber? – powtórzył głos, tym razem znacznie bliżej i ze znacznie większą stanowczością.

– A z kim mam przyjemność? – odrzekł wreszcie młodzieniec.

– Śledczy policji Grzegorz War. – Błysnęła odznaka. – Bardzo trudno pana znaleźć, panie Faber. Pozwoli pan z nami.

– Jestem o coś oskarżony, zatrzymany w jakiejś sprawie?

– Nie.

– W takim razie proszę dać mi spokój – zażądał gniewnie Mikołaj, próbując cofać się w stronę plecaka z książkami ukrytego pod skałą.

– Zbliża się potężna burza, panie Faber. Nie mogę pozwolić, by ktokolwiek został sam w tym lesie. Rodzina się niepokoi, tęsknią znajomi, najemca upomina się czynszu. Może pan uciekać od świata i próbować o nim zapomnieć, ale świat o panu nie zapomni.

– Ja przed niczym nie uciekam, proszę dać mi spokój! – krzyknął młodzieniec, ale wszelkie drogi ucieczki zamknął mu szczelny łańcuch ponurych funkcjonariuszy.

– Przykro mi, ale to niemożliwe – rzucił grobowym głosem śledczy War. – Zbliża się burza, panie Faber. Już słyszeć pioruny.

Droga na komisariat dłużyła się niemiłosiernie. W międzyczasie zaczęło zmierzchać i Mikołajowi zdawało się, że odkąd opuścił swoje leśne sanktuarium, mignęła mu przed oczami cała epoka. Przyglądał się rzędom ulicznych świateł i szeregom szarych budynków, jakby widział je pierwszy raz w życiu.

W samochodzie panowała absolutna cisza. Nikt nie odzywał się do zatrzymanego ani też nie rozmawiano między sobą. Wszystko to było dla Fabera podejrzanym, ale prawdziwy niepokój odczuł dopiero u celu podróży. Wywleczono go z auta wprost pod uchylone połowicznie pancerne drzwi jakiegoś obskurnego budynku.

Wewnątrz rozciągał się labirynt identycznych korytarzy. Ostry blask jarzeniówek raził po oczach, ale ludzie w płaszczach nie byli tym przejęci. Szli równo, idealnie zsynchronizowanym marszem, prowadząc pojmanego prosto do skromnie umeblowanego pokoju.

– Proszę mnie stąd natychmiast wypuścić! – krzyknął Mikołaj Faber, gdy tylko usadzono go na starym, skrzypiącym krześle – Jakim prawem jestem tu przetrzymywany?! Ktoś za to odpowie, przyrzekam...

– Spokojnie, spokojnie! – rzekł jeden z ponurych mężczyzn – Kolega chce tylko zadać kilka pytań.

Po tych słowach do środka wszedł barczysty brunet w nienagannie białej, wykrochmalonej koszuli. Pod pachą miał kartonowe pudło, które delikatnie postawił na stole. Bez słowa otworzył je i wyciągnął notes i ciężki, staromodny magnetofon, uzbrojony w niezapisaną taśmę.

Funkcjonariusz usiadł naprzeciwko Mikołaja, a pozostali ludzie szybko opuścili pomieszczenie. Po chwili rozległ się metaliczny trzask uruchamianej maszyny, któremu towarzyszył zgrzyt klucza przekręcanego w zamku.

– Dlaczego chcesz nas tak bardzo opuścić, Faber? – wycedził przez zęby policjant, który przedstawił się wcześniej jako Grzegorz War. – Śpieszno ci do twego lasu? Wiedz, że cokolwiek tam trzymasz, już tego nie ma. Moi ludzie sprawdzają teren, a w razie czego wszystko pójdzie z dymem.

Mikołaj od razu spostrzegł osobliwość siedzącej naprzeciw niego osoby. Człowiek ten poruszał się z mechaniczną wręcz precyzją, a jego ruchom brakowało krzty sprężystości. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu serce młodzieńca zatrzała wątpliwość. *Może on wie?*,

pomyślał. *Może jeśli jak najszybciej usłyszy to, co chce usłyszeć, zostawi mnie w spokoju? Muszę działać. Nie teraz, to nie może być teraz...*

– Pan niczego nie rozumie! – odezwał się w końcu Faber, siląc się na ton rozpaczony. – Muszę być na Brocken przed końcem kwietnia. Od tego zależy wszystko, czemu się poświęciłem, i być może znacznie, znacznie więcej. Pewne rzeczy w y k r a c z a j ą c e poza moją skromną osobę.

War spojrział tylko stalowym wzrokiem na przesłuchiwanego i otworzył swój notes. Po dłuższej chwili kartkowania opasłych zapisków znalazł wreszcie czystą stronę i nakreślił na niej jedno słowo. „Walpurgia”, jak odczytał Mikołaj.

Ta reakcja śledczego sprawiła, że wszystko stało się jasne. Faber rozejrzał się uważnie dookoła. Pomieszczenie, w którym się znajdowali, na pewno nie było salą przesłuchań. Wyglądało bardziej na pokój socjalny, w kącie stał nawet ekspres do kawy.

– Policja nie używa już takiej aparatury. Gdy mnie znaleziono, nie wezwano na miejsce służb medycznych, jak to powinno mieć miejsce w podobnych przypadkach... Wreszcie, nie znajdujemy się na komisariacie, a ludzie, którzy mnie zatrzymali, łącznie z panem, nie są funkcjonariuszami na służbie. Rozumiem też, że nasza rozmowa nie jest oficjalnie nagrywana?

– Oficjalnie nie.

Śledczy odziany w biel uśmiechnął się szeroko. Przerwał na chwilę pisanie i objął mężczyźni pogrążyli się w milczeniu. Jedyne dźwiękiem, jaki rozlegał się wtedy w pokoju, był jednostajny szum magnetofonu. Taśma nawijana na szpulę płynęła równo i spokojnie, szmerząc zupełnie jak czarny strumień w środku lasu.

– Prowadzę, można powiedzieć, moje własne śledztwo. Moimi własnymi metodami – rzekł grobowym głosem Grzegorz War. – Jesteś bystry, jak na dziwaka, ale w jednym się myliłeś. To jest prawdziwy komisariat. Przekonałem kolegów z nocnej zmiany, żeby nie patrolowali tego skrzydła do rana. Później, jeśli wszystko dobrze pójdzie, ktoś cię rano znajdzie i uwolni. Jeśli nie... Zacznie się kolejny dzień twoich poszukiwań. Mamy mało czasu, a ja muszę się dowiedzieć paru rzeczy. Zaczniemy od najprostszego, ale ono najbardziej mnie ciekawi. Powiedz mi, Faber. Kim ty, u diabła, jesteś?

– Ja? – spytał szczerze zdziwiony młodzieniec. Spodziewał się pytań innej natury i świadomie przeczuwał, że jeszcze je tej nocy usłyszy. – Nikim nadzwyczajnym, jedynie prostym sługą.

– Czym?

Znów śledczy War zamienił się w automat do pisania, a jego notes zaczął wypełniać się kolejnymi linijkami tekstu. Spojrzał tylko ukradkiem na przesłuchiwanego. Zimnym, stalowym wzrokiem kogoś nieznoszącego sprzeciwu.

– Sługą bogów, panie policjancie. Jestem kapłanem.

– Kapłanem, tak? To coś nowego...

Śledczy wstał z krzesła i zdzielił Mikołaja na odlew. Młodzieniec zgiął się w pół i omal nie upadł na podłogę. Uderzenie stalowej dłoni aż go przyćmiło. Nie stracił przytomności, ale nagle przypomniał sobie las, mrowienie rozprostowywanych nóg i trzeźwiący haust powietrza. Krew zalewająca mu teraz twarz była niemal jak ciepły, wiosenny deszcz...

War oczywiście wiedział, co robił, i nie złamał Mikołajowi szczęki. Może kilka zębów, ale to nie miało większego znaczenia. Obydwaj wiedzieli, że prędzej czy później muszą paść konkretne odpowiedzi. *Słowa są jak rzeka, pomyślał Faber, Wciąż płyną, drążą i nie można ich zatrzymać.*

– Jestem... – wykrztusił Mikołaj, a z jego rozbitej wargi popłynęła strużka spienionej krwi. – Jestem głosem tych, którzy nie mają już głosu. Służę umarłym. Pierwotnym bogom ziemi, wody i powietrza. Zawsze chwyciło mnie za serce to przeklęte słowo: zapomnienie. Chcę ocalić ich wszystkich, rozumie pan? Od prawdziwej i ostatecznej śmierci. Od zapomnienia.

Policjant słuchał słów Fabera z kamienną twarzą i co chwila dopisywał kolejne hasła w swoim notesie. Magnetofon pracował nieustannie, a jego szum potężniał w ciszy pogłębiającej się z każdą chwilą. Nie pochłonął jednak ostrego szczęku odbezpieczanej broni. Mikołaj wzdrygnął się, gdy poczuł chłód lufy przystawianej mu do lewego kolana.

– Opuść sobie te brednie, świrze – rzucił ze spokojem Grzegorz War. – Śledzę ciebie i tobie podobnych od dłuższego czasu. Wyrzutków znikających z dnia na dzień, którzy nagle pojawiają się w odległych częściach kraju. Jeden na Ślęży, drugi w bunkrze na Orłowskich Klifach. Wszyscy mówicie to samo: „rytuały”, „zapomnienie”, „martwi bogowie”.

– Wielu usłyszało powołanie i...

– Zamilcz. – Śledczy znów zdzielił Fabera, tym razem jednak znacznie słabiej, od niechcenia. – Chciałem powiedzieć, że te religijne bajania mnie nie interesują. To sprawa dla innych szaleńców, którzy dla odmiany zamiast po lasach kryją się po katedrach znanych uczelni. Oni znaleźliby w tym sens, przeprowadzili badania i dali mądrze brzmiące nazwy: „powrót do korzeni”, „rodzimowiercza retrospekcja” czy coś podobnego. Mnie interesują zaginięcia. Gdziekolwiek pojawia się podobny błazen, znikają ludzie. Biegacze, turyści. Nigdy za dużo, by panikować, i nigdy za mało, by było to zbiegiem okoliczności.

– To jakieś nieporozumienie, jestem tylko pokojowym myślicielem. Wiele autorytetów pochwała dawne wierzenia za proste wartości i życie zgodne z naturą. Ja nic nie wiem o żadnych...

– Kłamiesz – stwierdził spokojnie War, poczym pociągnął za spust.

Huk wystrzału ogłuszył obydwu mężczyzn. Faber spazmatycznym ruchem chwycił się za kolano, chciał powstrzymać krwotok wzbierający mu między palcami. Nie krzyknął jednak. Nie błagał o litość. Zamknął tylko oczy i zastygł w bezruchu, jakby zapadł się w siebie.

– Zabijasz ludzi – podjął po chwili śledczy. – Składasz ich w ofierze zapomnianym demonom. Nie to chcę jednak od ciebie usłyszeć, znam prawdę. Powiedz mi tylko skąd bierzesz metody. Kto wydaje rozkazy i kto w tej sekcie pociąga za sznurki. Gadaj!

– Nie ma żadnych metod ani rozkazów. Ja tylko słucham, panie policjancie. Ja słucham, a oni do mnie mówią.

– Jaśniej, proszę – syknął Grzegorz War i przystawił przesłuchiwanemu pistolet do głowy.

– Słyszę wicher – jęknął rozpaczliwie Mikołaj. – Wicher pośród drzew! Woła mnie, wzywa i nigdy nie chce opuścić! Nawet teraz, przez betonowe ściany, okna i drzwi. Najpierw doprowadzał mnie do szału, ale zrozumiałem wreszcie, że to dar. Oto słyszę, jak mówią bogowie!

Śledczy nie był tą odpowiedzią usatysfakcjonowany. Znow rozległ się metaliczny szcęk napinanego cynгла rewolweru. Wraz z nim lekko drgnął bębenek broni i następny nabój był gotowy do wystrzału.

– Oni są głodni, panie policjancie – pisnął żałośnie Faber. – Łakną, pragną i pożądamy, a ja nie mogę wytrzymać ich wycia! Czuję ich żądzę, wiem, czego pragną. I muszę im to dać. Muszę! Ja nie jestem mordercą, to oni! Oni i ten...

Młody, szalony człowiek nie zdążył dokończyć swego tłumaczenia. Kula przebiła mu czaszkę na wylot, a stos nagrań, stolik, ściany pokoju socjalnego i notes, zapisany nerwowym pismem, pokryły się plamami krwi.

Korytarzem komisariatu policji wstrząsnęły ciężkie kroki roboczych butów. Pod równymi snopami bieli rzucanymi na kafelkową podłogę przez rzędy jarzeniówek przemykał Grzegorz War.

Niósł pod pachą kartonowe pudełko z wciąż pracującym magnetofonem. Nawet koszula mężczyzny zachowała zwyczajową biel. Szedł do domu, jakby właśnie skończyła się jego kolejna, nudna nocna zmiana.

Zanim wyszedł z budynku, zatrzymał się przy stróżówce. Zapukał lekko w szybę obserwatora i zaraz ukazała mu się zmęczona sylwetka ochroniarza, o zapadniętej twarzy i wiecznie podkrążonych oczach.

– Dzień dobry, panie Grzegorzu – zagadnął stróż zaspanym głosem. – Jak tam praca?

– Spokojnie, co widać także po tobie. – War uśmiechnął się półgębkiem. – Wyślij chłopaków do socjalnego na pierwszym piętrze. Rozlałem kawę.

– Jasne robi się! – wykrzyknął mężczyzna z kiepsko udawanym entuzjazmem. – Do jutra, znaczy się, do wieczora!

– Do zobaczenia – rzucił na pożegnanie śledczy.

Grzegorz niewiele pamiętał z drogi do domu. Piosenki w samochodowym radiu zlewały mu się w jedną ciągłą, nieznośną kakofonię. Silnik pracował zdecydowanie zbyt głośno, a światło wschodzącego słońca raziło w oczy nieskończenie bardziej niż te przekłete świetlówki w pracy.

Jakimś cudem znalazł się jednak w swoim mieszkaniu. Trzymając się kurczowo rozplywającej się świadomości, odwiesił płaszcz na kołku i postawił swoje bezcenne pudełko przy wejściu. Gdy tylko znalazł się w sypialni, padł zmęczony na łóżko. Koszmary nawiedzały go od jakiegoś czasu, właściwie odkąd zaczął prowadzić to śledztwo. Szczęśliwie, tym razem nic mu się nie przyśniło.

Obudził go telefon. War sięgnął po urządzenie i kątem oka spostrzegł długie cienie rzucane przez meble jego sypialni. Musiało być już zatem późne popołudnie, co bardzo zdziwiło policjanta. *Spodziewałem się telefonu znacznie wcześniej, pomyślał. Razem ze zbiorową wizytą kolegów z pracy...*

– Halo? – burknął Grzegorz do słuchawki, przecierając podkrążone oczy.

– War? Chłopie, coś ty, do diabła, zrobił z tym wariatem z lasu? Mieliliśmy go przecież wypuścić razem albo... Wiesz, o czym mówię.

– Wiem, wiem. Przepraszam, że to tak się skończyło. Stróż wam kazał posprzątać „rozlaną kawę”?

Głowę policjanta wypełniały fragmenty zdarzeń zeszłej nocy. Strzępki zdań, słowa zapisywane w notesie. Choć obraz był zamglony, wszystko układało się w bezcenne

informacje, które uzyskał tak wielkim kosztem. Jedynie finał rozmowy pamiętał bezbłędnie. Celny strzał między oczy.

– Tak, tak – przerwał mu rozważania zniekształcony głos kolegi z pracy. – I w tym właśnie rzecz! Socjalny był pusty, rozumiesz? Ani śladu Fabera czy tego, co z niego zostało. Żadnej krwi, tylko dwie dziury w ścianie. Albo jesteś taki dobry, albo facet zniknął. Halo? Grzesiek, jesteś tam?

Grzegorz War dawno już jednak nie słuchał. Upuścił telefon na podłogę i rzucił się do kartonu stojącego przy drzwiach. Wyciągnął z niego wierny notes, pełen zapisków, dla których poświęcił zdrowie i karierę. Te z wczoraj były na miejscu. „Walpurgia”, „Sługa bogów”, etc. – wszystkie hasła zgadzały się co do joty.

Pozostało sprawdzić jeszcze jedno. Śledczy delikatnie wyciągnął z pudełka rozładowany magnetofon, z wciąż wciśniętym przyciskiem „PLAY”. Mężczyzna skarcił się w myślach za ten brak staranności, ale nie miał czasu na robienie sobie wyrzutów. Wymienił szybko baterie, przewinął nagranie i usiadł, pełen napięcia, na krześle.

Po przesłuchaniu fragmentu rozmowy Grzegorz przez dłuższą chwilę tkwił w absolutnym bezruchu. Walczyły w nim sprzeczne myśli, przez pewien czas zastanawiał się nawet, czy nie zwariował. To nie mogło być prawdą, a jednak miał dowód. Niepodważalny dowód w postaci wciąż przewijającej się między rolkami taśmy magnetycznej.

Wkrótce potem policjant wybiegł z mieszkania, znów zapomniawszy o wyłączeniu urządzenia. Sprawdziły się bowiem jego najgorsze przypuszczenia. Taśma uwieczniła jedynie wypowiedzi śledczego. W chwilach, gdy odzywać się miał Mikołaj Faber, słychać było jedynie jednostajny szum ciszy.

Grzegorz War pędził na złamanie karku przez przeklęty las. Samochód zostawił gdzieś na uboczu i nie pamiętał nawet, czy zgasił silnik. Nagi od pasa w górę, pokonywał mętne strumyki i chaszczę jagodzisk. Strzępy jego płaszcza zostały na jednym z krzewów, przez które musiał się przedrzeć. Latarkę zgubił, gdy przeskakiwał przez rów. Biegł w ciemności, ale dobrze znał drogę.

Z ran na całym ciele śledczego sączyła się krew. Czerwień zalewała mu oczy, a pot wnikał w miejsca skaleczeń i wypełniał ciało mężczyzny piekącym bólem. Powietrze w płucach paliło, serce wyrywało się spod żeber – wszystko to było nieistotne. Liczyła się tylko prawda. Odpowiedź na jedno, najważniejsze, niewypowiedziane przez nikogo pytanie.

Wreszcie, po trwającym w nieskończoność kwadransie morderczego wysiłku, War dotarł na polanę w samym sercu lasu. Jego oczy przyzwyczyły się już do ciemności i ujrzał wszystko wyraźnie.

Kamienna płyta stała na kopulastym pagórku, dokładnie tak jak wtedy, gdy zabrali stąd Mikołaja Fabera. Azyl szaleńca było toczony przez zwarty pierścień drzew. Szumiały gniewnie, choć Grzegorz mógłby przysiąc, że noc była spokojna i bezwietrzna.

Policjant wiedział już, czym naprawdę było to miejsce. *Sanktuarium, pomyślał. Miejsce modlitwy, rytuałów i... składania ofiar. Płaski kamień porzucony na zwykłej polanie? Jak mogłem być tak głupi!*

War wystąpił przed ścianę lasu i ruszył w stronę wzniesienia. W tym momencie zerwał się wiatr, wiejący, jakby chciał wyrwać z korzeniami wszystkie okoliczne drzewa. Towarzyszył mu szum, ogłuszający niczym gniew fal lub ryk rozszalałego pożaru. Wszechpotężne wycie bezrozumnego szału.

Grzegorz ledwie mógł ustać na nogach. Już chciał zawrócić. Dać za wygraną i pogodzić się z własnym szaleństwem. Wrócić do pustego domu i znów pogrążyć się w próbach przepicia straty...

Wtem spostrzegł biały kontur przedmiotu ułożonego na stole ofiarnym. Przeszedł go dreszcz, gdyż w majaczącym w oddali kształcie rozpoznał ludzki szkielet. Śledczy rozwiązał zatrute myśli, rzucił się biegiem w stronę ołtarza i gdy już znalazł się u jego podnóża, stanął jak wryty.

Na sponiewieranej przez czas, spękanej powierzchni z kamienia leżały szczątki kobiety. Policjant bez trudu rozpoznał zgniłą tkaninę wciąż okrywającą tors zmarłej. Rozpoznał też kolor włosów, których kępkę nie odpadły jeszcze z ogołoconej czaszki. To bez wątplenia było ciało zaginionej, dla której zrobił to wszystko.

Grzegorz War upadł na kolana i wtulił swą krwawiącą twarz w zbiele kości ukochanej. Wypełniało go dziwne połączenie dwóch emocji: rozpacz i euforii. Nie wierzył, że jeszcze kiedyś ją zobaczy. Choćby w takim stanie, choćby w takim miejscu i choćby za taką cenę. Minęło tyle lat...

Pogrążony we wspomnieniach mężczyzna nie zauważył, co działo się dookoła niego. Wiatr rozszalał się na dobre. Niebo zasnuło się nabrzmiałymi chmurami i zaczęło przypominać wrzący atrament.

Nagle straszliwy podmuch poderwał z ziemi kamienny ołtarz i odrzucił go na bok. Oszołomiony śledczy w ostatniej chwili zdążył przywrzeć do ziemi, co w znacznej mierze uchroniło go przed niszczycielską siłą wiatru.

Furia natury odsłoniła niewielkie zagłębienie, ukryte pod głazem ofiarnym. War ostatkiem sił czołgał się w kierunku niszy, ledwie mogąc złapać oddech. Musiał złamać sobie kilka żeber, może nawet przebił płuco. Dotarcie do zagłębienia było jego jedyną nadzieją.

Mężczyzna wbijał palce w grudkowatą ziemię, przyciągając się bliżej dołka centymetr po centymetrze. Napręzał mięśnie do granic możliwości, przesuając się powoli w stronę wybawienia. W każdej chwili kolejny podmuch mógł cisnąć nim ponownie, dokańczając dzieła...

Zamiast ratunku, Grzegorz odnalazł w płytkiej niecce drugi, znacznie starszy szkielet. Kości były niemal całkowicie pochłonięte przez wieki rozkładu, jednak wprawny śledczy od razu zauważył niepokojące szczegóły. Okrągła dziura w czaszce, strzaskane kości lewego kolana. Dwie śmiertelne rany postrzałowe.

– To niemożliwe! – krzyknął z rozpaczą – Nie, nie, nie! To nie może być prawda...

Coś kazało Grzegorzowi wpatrywać się w oczodoły. Nie ziały pustką, lecz czernią tak głęboką, jak nieskończona przestrzeń martwego kosmosu. Zaraz wydało mu się, że w jamach dostrzega oczy. Głęboko zapadnięte, ale jednak oczy. Należące do człowieka, którego zabił na komisariacie.

W głowie policjanta naraz rozległ się szum. Znał dobrze ten dźwięk. Uporczywy, doprowadzający do szału pomruk. Wizg zimna wciskającego się do środka przez szpary w oknie. Szept karzących głosów podpowiadających okrutne myśli...

Teraz też pan to słyszy, panie policjancie. Wieje wicher. Wicher pośród drzew.



SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

PARTNERZY





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

